POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień · Dnia 31-go lipca 1943r. · Rok V. Nr. 30

NASI LOTNICY Z TUNISU

(Korespondencja własna "Polski Walczącej")

Kair, w czerwcu

W końcu marca r.b. prasa kairska zaczęła przynosić pierwsze wiadomości o wyczynach polskiego "*flightu*" myśliwskiego w Tunisie. Skąpe były początkowo te wieści, fragmentaryczne i niedostateczne. Ot, krótkie, parowierszowe depesze Reutera . . . Dowiedzieliśmy się z nich, że polski "*flight*" pościgowy przybył na teren walk tuniskich, że składa się z doświadczonych, zaprawionych w boju lotników, którzy do tej służby zgłosili się w Anglii ochotniczo, że mają już szereg zwycięstw i pokaźną ilość zestrzelonych aparatów nieprzyjacielskich na swym koncie, że dowódcą ich jest kpt. Skalski. Potem pojawiły się reportaże w "*Paradzie*" i w "*Le Progrès Egyptien*" i nasi lotnicy z Tunisu stali się tutaj sławni. Zaczęto o nich mówić. Zarówno ich angielscy koledzy z RAF'u jak i korespondenci wojenni z Tunisu, wpadający na parę dni do Kairu, opowiadali cuda o ich odwadze i zręczności. I w ten oto sposób, stopniowo, ta garść lotników naszych zdobyła naszym skrzydłom w Afryce Północnej renomę nie gorszą od tej, jaką cieszą się od dawna one w Anglii.

Obecnie, gdy kampania tuniska skończyła się, lotnicy nasi przybyli z Tunisu do Kairu na krótki odpoczynek. Przybyli, aby nabrać sił do nowych zadań, które czekają ich niezadługo. Rozmawiał z nimi ten i ów, usiłował wydostać od nich jak najwięcej informacji, ale wiadomo . . . lotnik — stworzenie twarde i niechętne do wywnętrzania się. Sączyli więc przez słomkę jakiś skomplikowany napój, uśmiechali się i od czasu do czasu cedzili przez zęby jakieś nic nie znaczące słowo. W ogóle, czarna rozpacz . . .

Aż wreszcie jeden z nich przemówił. I to nie byle kto, bo sam kpt. Skalski. Zadrgała w niżej podpisanym dziennikarska dusza, chwycił za ołówek i tak oto powstał niniejszy wywiad. Wywiad? . . . Właściwie raczej fascynujące opowiadanie.

Kpt. Skalski ma 28 lat. Pochodzi z Wołynia. Ma szare, bardzo polskie oczy i jasną, jeszcze bardziej polską czuprynę. Na piersiach — "Virtuti Militari," cztery Krzyże Walecznych i zagraniczne odznaczenia bojowe. W Polsce służył w IV pułku lotniczym w Toruniu. We wrześniu 1939 r. bił się nad Pomorzem i osłaniał armię gen. Bortnowskiego. Strącił tam swe cztery pierwsze samoloty niemieckie. Później, po klęsce, był w Rumunii i przez Bejrut dostał się do Francji, gdzie od razu zaciągnął się do RAF'u. Podczas "*Battle of Britain*" zestrzelił znowu pięciu Niemców. W latach 1941 i 1942 brał udział w niezliczonych lotach ofensywnych nad okupowaną Francją. W roku 1943 — Tunis, ofensywa Sprzymierzonych i znowu trzech strąconych Niemców. Jeśli liczyć zwycięstwa nad Francją, kpt. Skalski ma razem na swym koncie osiemnastu zestrzelonych przeciwników.

Jego czternastu kolegów /razem jest ich we "*flight*" piętnastu/ pochodzi z najrozmaitszych części Polski. Jeden jest z Warszawy, jeden z Krakowa, jeden z Wilna, jeden z Łodzi, dwóch z Poznania, trzech z Kieleckiego, jeden z Lubelskiego i jeden z Polesia. W sumie poszczycić się mogą wynikami następującymi: 78 samolotów nieprzyjacielskich zestrzelonych napewno, 19 — prawdopodobnie, 18 — uszkodzonych. W samym Tunisie zestrzelili napewno 25 aparatów, 3 — prawdopodobnie, a 8 uszkodzili, tracąc sami 1 aparat i 1 pilota. Posiadają: 3 krzyże "Virtuti Militari," 33 "Krzyże Walecznych," 1 D.F.C. *and bar*, francuski "Krzyż Wojenny" z palmami.

Kpt. Skalski opowiada o kampanii tuniskiej. Przede wszystkim podkreśla ogromną potęgę lotnictwa W. Brytanii.

—"Trudno zdać sobie z niej sprawę" — powiada — "jeśli się jej nie widziało. Jest to lotnictwo obecnie przede wszystkim imponujące ilościowo. Pod tym względem przewaga samego tylko lotnictwa brytyjskiego nad awiacją Osi jest już dokonanym i bezspornym faktem. Samolotów jest tyle, że wyprawy, w których dawniej brało udział 15 — 20 maszyn, dokonywane są obecnie przez ilość cztery i pięć razy większą. Owa przewaga ilościowa uwydatniła się podczas kampanii tuniskiej w jaskrawej formie i pomogła niemało do ostatecznego zwycięstwa."

"Jeszcze większa jest jednak przewaga jakościowa. Myśliwiec brytyjski "Spitfire 9" jest aparatem, nie mającym równego sobie na świecie. Niemieckie najnowsze "Messerschmitty 109 G" okazały się znacznie gorsze, niż przewidywaliśmy. Przed ich pojawieniem się Niemcy rozpuszczali o nich sensacyjne wieści, które pozwalały spodziewać się Bóg wie czego . . . Uzbrojenie ich i zwrotność miały być jakoby niebywałe . . . Tymczasem rzeczywistość okazała się całkiem inna. Jest to przeciętna maszyna i biliśmy ją na "Spitfire'ach" bez specjalnych trudności. Znacznie lepszy jest już "Focke-Wulf 190," zwłaszcza na średnich wysokościach, ale i z nim także można dać sobie radę."

"Istnieje też niezaprzeczalna przewaga brytyjskiego materiału ludzkiego nad niemieckim. Nie chcę przez to powiedzieć, że lotnik niemiecki jest dziś zły. Często słyszy się, że najlepszy materiał ludzki Niemców już wyginął i że nowy narybek porównać się nie może z dawną ekipą. Tak nie jest. Oczywiście, lotnictwo niemieckie poniosło bardzo ciężkie straty w ludziach i straty te dają mu się boleśnie odczuć, ale i nowi piloci, przeważnie bardzo młodzi, są dobrzy. Odważni, mają wysoki "moral." Tylko, że — lotnicy brytyjscy są znacznie lepsi."

—"Co Pan Kapitan powie o Włochach?"

—"Gorsi są na ogół od Niemców, ale aparaty mają dobre. Ich "Macchi" — to doskonała maszyna. Natknęliśmy się raz na jednego Włocha, który wzbudził nasz najwyższy respekt. Zapędził w cień nawet swych niemieckich kolegów. Sam jeden, walczył przeciw sześciu naszym aparatom, i to jak walczył . . . nie tylko nie uciekł, ale jeszcze atakował nas z całą zajadłością. Zestrzeliliśmy go wreszcie, ale był to ciężki orzech do zgryzienia. Tylko, że takie wypadki rzadko zdarzają się u Włochów."

—"Jakie jest lotnictwo amerykańskie?"

—"Piloci niezwykle odważni, zdecydowani na wszystko, dobrze orientujący się. Gdy nabiorą więcej doświadczenia bojowego, będą pierwszorzędni. Maszyny "Mitchell" — dobre. Wśród lotników amerykańskich jest wielu Polaków, obywateli U.S.A. Odwiedzaliśmy ich czasem, a przyjmowani byliśmy zawsze, nie tylko przez nich, lecz i przez ich kolegów narodowości amerykańskiej, nadzwyczajnie i z całą serdecznością. Wystarczyło n.p., iż raz odgadli, że nie mamy czego palić, a wnet zarzucili nas papierosami. Wiele u nich życzliwości dla Polaków."

"Lotnictwo "Osi" w Tunisie, pomimo swej niższości liczebnej, było jednak bardzo silne. Straciło ono moc aparatów, zwłaszcza na ziemi. Wielkie szkody wyrządziła mu wzorowa praca naszego podsłuchu ziemnego, który podchwytuje rozmowy radiowe między nieprzyjacielskimi samolotami. Drobiazgowe informacje, jakie posiadaliśmy w tej dziedzinie, pozwalały nam na wyjątkowo skuteczną pracę. Czasem chwytaliśmy takie oto dialogi: Pytanie: "Ile aparatów nieprzyjacielskich zbliża się i z jakiego kierunku?" Odpowiedź: "Jeśli będziesz tak powoli leciał, przegramy wojnę." Zdarzało się często, że podsłuch włoski ostrzegał swych pilotów w powietrzu, iż zbliżający się zespół samolotów brytyjskich jest zbyt silny, aby można było mu się przeciwstawić. Radzono im uciekać w kierunku Sycylii, gdy zaś bombardowanie było skończone, dawano im znać, że mogą już powrócić, ale lądować muszą na innym lotnisku, gdyż ich własne nie jest już zdatne do użytku."

—"Czy brali panowie udział w większych operacjach?"

"Lataliśmy kilkakrotnie nad Bizertą i nad portem w Tunisie. Główny jednak ciężar bombardowań spoczywał na lotnictwie bombowym. My, myśliwcy, w pierwszym rzędzie walczymy. Tunis jest na ogół, poza portem, nie zniszczony, ale z Bizerty nie pozostało prawie nic. Również Sousse jest w gruzach."

—"Czym tłumaczy Pan Kapitan tak nagłą i ciężką klęskę potężnej bądź co bądź armii niemiecko-włoskiej?"

—"Trudno ją wytłumaczyć sobie w takich rozmiarach" — odpowiada kpt. Skalski. — "Widzieliśmy pozycje "Osi" w górach Tunisu. Były one niezwykle silne z natury i potężnie umocnione. Pola minowe, zasieki z drutów, schrony wykute w skałach, doskonale zamaskowane pozycje artyleryjskie . . . W tych umocnieniach, z tym uzbrojeniem i zaopatrzeniem, jakimi siły "Osi" rozporządzały jeszcze w dniu kapitulacji, mogły się one tam bronić miesiącami. Ten rzekomy brak amunicji — to bajeczka . . ."

—"A więc po prostu załamał się osławiony "moral" niemiecki?"

—"I to także trudno twierdzić. Oddawanie się do niewoli odbywało się w porządku, na rozkaz dowódców. Mam wrażenie, że dowództwo niemieckie, widząc beznadziejność dalszej walki, postanowiło po prostu uratować jak najwięcej materiału ludzkiego, przez kapitulację. Poza tym nie ulega wątpliwości, że dzisiejsza armia niemiecka nie jest już taka, jak ta, która zdobywała Warszawę i Paryż. Ogromny wśród niej odsetek uderzająco młodych chłopców, 17 i 18-letnich. A tych, oczywiście, trudno nazwać wytrawnymi żołnierzami."

—"Czy Niemcy zdołali zniszczyć dużo swego sprzętu przed kapitulacją?"

—"Bardzo dużo. Wszędzie widzieliśmy połamane karabiny, zdekompletowane k.m-y i działa, zniszczone lornetki i aparaty fotograficzne. Ale wzięto też moc sprzętu nietkniętego, a poza tym olbrzymie składy zaopatrzeniowe. Jeszcze w chwili opuszczania Tunisu żywiliśmy się niemieckimi konserwami z kurcząt. I zapewniam pana" — dodaje z uśmiechem — "że bardzo nam smakowały."

—"Jak odnosiła się do was ludność miejscowa?"

—"Bardzo przychylnie. W Tunisie, Sousse, Sfax okazywano nam wiele życzliwości i zainteresowania. Dotyczy to, oczywiście, przede wszystkim miejscowych Francuzów i Żydów. Polskość stanowi tam doskonałą legitymację. Wypytywano nas o sprawy polskie, o naszą armię, akcentowano tradycyjną przyjaźń polsko-francuską. Jeden z kolegów moich spotkał w Tunisie Polkę, którą znał z Warszawy, jeszcze z przed kilkunastu lat. Poślubiła ona oficera francuskiego i znalazła się wraz z mężem w Tunisie, gdy zjawili się tam Niemcy. Spotkaliśmy ją w restauracji tuniskiej. Dużo było radości z powodu tego spotkania. U miejscowych Francuzów stwierdziliśmy ogólną, niezachwianą wiarę w rychłe odrodzenie Francji. Kolaboracjonistów można tam policzyć na palcach."

"Odbyliśmy piękną kampanię" — kończy rozmowę kpt. Skalski — "piękną i interesującą. Jesteśmy szczęśliwi, że dzięki naszej obecności polskie siły zbrojne były reprezentowane w Tunisie, podczas jednej z rozstrzygających bitew wojny obecnej. Ale powiem panu w zaufaniu" — dodaje zamyślony — "wolelibyśmy już latać nad Polską."

ROMAN FAJANS

Kpt. Skalski /z lewej/ odznaczony orderem Virtuti Militari, 4-krotnie Krzyżem Walecznych i D.F.C. bar.



MESSYNA — DRUGIM CAP BON?

Sycylia jest w przeszło 2/3-ich zajęta przez wojska sojusznicze. Palermo padło, podobnie jak Marsala. Wojska amerykańskie, które sprawiają się doskonale, *prą na Messynę.* Jeżeli wojska brytyjskie, którym przypadł w udziale najtwardszy do zgryzienia orzech: złamanie oporu niemieckiego *pod Catanią,* zajmą to miasto, to wtedy odetnie się może drogę odwrotu wrogowi. Messyna może stać się drugim Cap Bon, *widownią rozbicia i klęski poddania.*

Trzeba przyznać, że działania na Sycylii przeprowadzone były nie tylko niezwykle sprawnie, ale niezmiernie szybko. W dwa tygodnie *uprzątnięto 2/3 największej wyspy Morza Śródziemnego.* Wzięto do niewoli 70,000 *jeńca,* a obliczenia brytyjskie podane dnia 25-ego powiadają, że ok. 50,000 Włochów jest okrążonych. *Do końca działań może być tych jeńców* 200,000.

Okazało się, że lekcja Tunisu została przez sojuszników niezwykle starannie przestudiowana i *zbadana gruntownie.* Działania na Sycylii były o wiele trudniejsze aniżeli atak niemiecki na Kretę. Niemcy dokonywali wyczynu sportowego, wiedząc, że nie napotkają na poważny opór; tutaj zmierzyły się ze sobą dwie siły znacznej wielkości, a samo lądowanie było zadaniem, z którym spadochroniarski popis na Krecie nie może się porównać ani rozmiarami ani ogromem potrzebnych przygotowań. Niemcy atakowali szybko i zaraz po zajęciu lądu greckiego — alianci uderzali w Sycylię, która *miała czas przygotować się na atak.*

Jeżeli Sycylia zostanie uprzątnięta do dnia 1-*ego sierpnia,* to otworzą się przed sojusznikami perspektywy bardzo nęcące. Przedtem, niesposób było uderzać na ląd stały Włoch — albowiem na tyłach czuwała Sycylia i inne wyspy. Dzisiaj można już uderzać na Włochy, *bez zajmowania Korsyki czy Sardynii.* O ile zatem pierwotnie wnioskować można było logicznie, że sojusznicy skoncentrują swoje wysiłki na oczyszczanie wysp Morza Śródziemnego z wroga, to dzisiaj tego rodzaju proroctwo nie wytrzymuje już krytyki. Oczywiście, możliwe jest, że alianci postawią sobie jako zadanie na rok bieżący uprzątanie tych wysp, ażeby żegluga mogła swobodnie oddychać na szlaku Gibraltar-Kair. Być może jednak, że uznają, iż demoralizacja Włoch postąpiła tak daleko i chwila jest tak sposobna, iż *uderzać trzeba teraz, nie zwlekając.*

Bombardowanie *Krety* przez RAF jak i przez maszyny królewskiego lotnictwa greckiego mogłoby wprawdzie budzić przypuszczenia, że atak pójdzie teraz na Kretę, ale może być to również *atak mylący.* Wiele dowodziłoby, że jednak rdzenne Włochy mogą pójść pod nóż. Nie jest również wykluczone, że sojusznicy postarają się o "*obejście*" *cypla południowego Włoch i że uderzą w bramę Otrancką.* Tego rodzaju akcja byłaby czymś nader korzystnym, albowiem odsłaniałaby Włochy od strony najbardziej czułej — obrona wybrzeża Włoch *od strony Adriatyku* jest na pewno licha, szczególnie w południowych częściach.

Atak taki otwierałby poza tym możliwość albańską i jugosłowiańską.

Szkic sytuacyjny

RZYM POD BOMBAMI

List skierowany przez Roosevelta do Ojca św. dowodził, że sojusznicy postanowili dokonać uderzenia w Rzym: w Rzym świecki, w ośrodek władzy faszyzmu, *ważny węzeł komunikacyjny.*

Tak się też stało. Bombardowanie obiektów w Rzymie przeprowadzone było niezwykle starannie; szkody, jakie wyniknąć musiały, nie są wielkie. Dowodzi tego audycja *radia watykańskiego,* które zaprzeczało doniesieniom niemieckim, jakoby Papież wysłał protest do Waszyngtonu oraz do Londynu. Radio Watykan podkreśliło, że Papież występował jeszcze w r. 1940-tym *przeciwko bombardowaniu miast otwartych i że uważa, iż szkoda, że Rzymu nie ogłoszono miastem otwartym.*

Pogłoski z krajów neutralnych mówią, że rząd włoski może przenieść się do *Werony* albo innego punktu Włoch płn. Żartobliwe powiedzenia kursujące na kontynencie Europy zaznaczają, że Mussolini wraz ze swoim rządem może być *pierwszym rządem emigranckim,* który zjawi się w Wiedniu albo Berlinie i czekać będzie na — przyjście tam sojuszników.

Spotkanie *Mussolini-Hitler* nie przykuło niczyjej uwagi. Przypuszcza się, że Hitler nalegał na to spotkanie, albowiem obawia się stale i ciągle, że jego *włoski partner wyłamie się.* Podobno strofował Mussoliniego, ażeby "patrzał na palce królowi włoskiemu." Wszystko zdaje się dowodzić, że *Hitler obiecał Mussoliniemu większą pomoc dla obrony lądu włoskiego.* Takie przypuszczenie wypowiada dyplomatyczny sprawozdawca "*Times'a*" a jego oceny bywają trafne i bardzo rozważne. Zdaje się, że Hitler zmuszony został do tego rodzaju oświadczenia i obietnicy, albowiem armia włoska musi sobie już zdawać sprawę z tego, że *niema szans.* Na Sycylii żołnierze włoscy poddawali się ujrzawszy kolumny czołgów amerykańskich, *niebywale zmechanizowaną i zmotoryzowaną* armię, przeciw której musieli walczyć *sprzętem przestarzałym.*

Hitler próbuje przypuszczalnie ściągnąć z frontu wschodniego *dywizje i lotnictwo;* armia czerwona wyzyskuje to osłabienie frontu i próbuje dalej opukiwania. Sukcesy sowieckich dywizyj nie są tak wielkie jak głoszą komunikaty: rzut oka na mapę przekonuje, że są to postępy w *skali kilometrów,* ale też obrona niemiecka musi tam być niebywale skomplikowana — przedstawia się ona jako *sieć stanowisk oddawna umacnianych.*

Przypuszczać wolno, że armia sowiecka stara się uzyskać stanowiska wypadowe do swojej późno-jesiennej czy zimowej ofensywy. Podobny manewr dokonywany jest obecnie przez sojuszników na Sycylii. Sprawozdawca wojskowy "*Observera*" zaznacza w nrze. tego pisma z dnia 25-ego lipca, że istnieje *zbieżność celów i zamiarów między ofensywą na Messynę a uderzeniami na Orzeł.*

NASTROJE WŁOSKIE

Doniesienia neutralne /głównie szwedzkie/ jakie pojawiły się na łamach prasy londyńskiej — szczególnie korespondencje jednej z doskonałych dziennikarek szwedzkich z pisma "*Social Demokraten,*" przesłane "*Daily Expressowi*" /dziennikarka ta bawiła ostatnio długo w Rzymie/ — wskazują, że naród włoski zobojętniał na apele patriotyczne, że panuje wielkie przygnębienie, niepewność losu, że tysiące młodych ludzi "dekuje się" /jak się mówiło za ś.p. pierwszej wojny światowej/, że jednym słowem Rzym i Włochy są *w stanie apatii.* Raporty z Sycylii powiadają, że nastroje w Palermo były wspaniałe i że ludność witała zwycięzców jak *triumfatorów i oswobodzicieli zarazem.*

Jest to jasne i zrozumiałe. Włoch jest *realistą* a ujrzawszy, że wszelkie szanse są stracone — przerzuca się na drugą stronę. Przeciętny Włoch wie, że kraj jego stał turystyką; niecierpi Niemca nie tylko jako barbarzyńcy /jest to niejako głos krwi/ ale i jako najgorszego turysty, który nie przynosił ze sobą dobrej waluty, a nie lubił wydawać zbytnio nawet tej lichej waluty. W. Brytania i Ameryka to dalej dla niego wspomnienia najlepszej ery włoskiej, *rozkwitu turystyki.* Te dwa kraje to symbol swobody, uczciwej dostawy żywności, sprawiedliwego jej rozdziału. Państwa totalitarne przejadły się wszystkim obywatelom: w razie klęski pęka niezmiernie szybko *spójnia państwa* z obywatelem, albowiem państwo przykuło człowieka-obywatela siłą, a nie związało i przyciągnęło go dobrowolnie. Stąd też bunt uciśnionego obywatela w państwie totalnym skrupia się na państwie.

OSTRZEŻENIE GENERAŁA GIRAUD

W czasie swojego pobytu w Londynie generał Giraud wypowiedział wiele słusznych uwag o naszych wrogach. Stwierdził, że nie należy za żadną cenę ulegać łatwym złudzeniom i że kalkulowanie, iż wojna skończy się jutro, czy w jesieni tego roku i t.d. — jest *niedocenianiem jej ogromu i powagi.*

Wydaje się, że ostrzeżenie takie przyszło w porę, albowiem w wielu kołach budzi się przekonanie, że wojna jest już wygrana i że "wrócimy lada chwila."

Prorokowanie na ten temat jest ryzykowne. Dzisiaj widzimy jak lekkomyślne były obliczenia tych, którzy wołali, że jesienią r. 1941-ego czy wiosną 1942-ego można było rzucać się na Europę. Posuwanie się nasze jest szybsze aniżeli naogół sądzono, ale jeszcze nie dobraliśmy się do *właściwego lądu.* Wydaje się zatem, że dopiero na wiosnę r. 1944-ego zobaczymy to, co język angielski określa mianem "*zarysu zwycięstwa.*"

Zima tegoroczna powinna okazać się krytyczna dla Rzeszy — tak krytyczna, że *na wiosnę r. 1944-ego Rzesza będzie starała się wcale otwarcie szukać możliwości pokojowych.*

Wydaje się, że sfery kierownicze W. Brytanii i Stanów Zjd. nie ulegają złudzeniom, że trzeba będzie jeszcze wielu uderzeń /jak to na *Hamburg,* gdzie dokonano *największego nalotu wojny ze straszliwym ładunkiem bomb*/, zanim Rzesza będzie "podatna" na ciosy lądowe.

Londyn, dnia 25 lipca 1943.

ZBIGNIEW GRABOWSKI

P.S.

LIKWIDACJA MUSSOLINIEGO

Wiadomość o likwidacji Mussoliniego, która nadeszła już po "zamknięciu" tych uwag, jest wydarzeniem zbyt doniosłym, ażeby można się kusić o zmieszczenie go w kilku zdaniach. Jeżeli chodzi o najbliższy okres, to jest wcale jasne, że Włochy usiłują wydobyć się z matni — *próba "przejścia na neutralność"* nie jest wykluczona jak i to, że sojusznicy *nie* zgodzą się na nią. Włochy mogą w rezultacie znaleźć się albo w stanie wojny z Niemcami, albo w stanie rewolty; trzecia możliwość to kapitulacja marszałka Badoglio wobec aliantów.

Wrażenie upadku dyktatora rzymskiego musi w Niemczech być olbrzymie. Mussolini był pod wielu względami *wzorem dla Hitlera.* Każdy Niemiec wie teraz, że t.zw. *oś jest złamana i że dyktatorzy są w stanie likwidacji.* Wie też, że armia we Włoszech usuwa system. Tego rodzaju wydarzenia mogą się powtórzyć w Rzeszy . . . O tym myśli obywatel Niemiec. Żywić on jednak musi obawy o swój los z dwóch względów: *niema w Rzeszy ośrodka takiego jak król we Włoszech, wojna na Wschodzie jest w stadium złym dla Niemiec.*

Wrażenie *na Bałkanach* będzie potężne. Próby wysiadania z łodzi "osiowej" podjęte zostaną przypuszczalnie szybko. *Rumunia* będzie próbowała wyjść z wojny, ale nie będzie to łatwe, gdyż wojska jej są na Wschodzie. Łatwiejsze stanowisko mają *Węgry,* które spróbują zapewne sztuczki z neutralnością. *Bułgaria* czuje pismo nosem. Panowanie włoskie *w Chorwacji* jest pod znakiem zapytania, podobnie jak obecność wojsk włoskich *we Francji płd.* i Haute Savoie. Jeżeli Włosi zaczną opuszczać Bałkany /już są doniesienia, że wynoszą się z Albanii/ to wtedy Niemcy muszą przejąć całkowicie zadanie obrony południa Europy.

Na półwyspie pirenejskim *Hiszpania,* której Mussolini pomagał w wojnie domowej, ma powody do żywienia obaw. Losy generała Franco nie przedstawiały się jeszcze nigdy tak krytycznie.

Jednym słowem *polityczne echa upadku Mussoliniego są może ważniejsze aniżeli militarne.* Na razie bowiem walka trwa, chociaż jasne jest, że Włochy, jak to się mówi w żargonie teatralnym "*markują.*" Wojna polityczna z Włochami zaczyna się. Gra polityczna, która się rozwija będzie doniosła.

To również wydaje się pewne, że sprawa trwania wojny zależna będzie poważnie od rozwoju tych *politycznych gier.* Wojna zorganizowana może się skończyć wcześniej, ustępując miejsca wojnie zdezorganizowanej, olbrzymiej grze politycznej i szantażom, jakie strona pobita będzie próbowała wyczyniać dla ratowania się przed klęską.

26 lipca 1943.

Z tygodnia na tydzień

19 lipca: Polskie dywizjony bombowe wykonały loty operacyjne. Wszystkie polskie załogi powróciły.

—Po raz pierwszy w obecnej wojnie Sprzymierzeni bombardowali Rzym. Nalot był silny.

20 lipca: Ogłoszono w Moskwie o rozpoczęciu ofensywy sowieckiej nad Dońcem.

—Samoloty polskiego myśliwskiego dywizjonu rozpoznawczego wykonały lot patrolowy wzdłuż wybrzeża nieprzyjacielskiego. Wszystkie samoloty polskie powróciły.

21 lipca: Rząd R.P. uchwalił podziękować premierowi Churchillowi za słowa serdecznej troski i otuchy skierowane do Kraju w tak trudnej dla Narodu Polskiego chwili dziejowej.

—Z inicjatywy Prezydenta R.P. Rada Ministrów uchwaliła wniosek o nadaniu Orderu "Polonia Restituta" ś.p. gen. Klimeckiemu, szefowi Sztabu N.W. i ś.p. płk. dypl. Mareckiemu, szefowi Oddziału Operacyjnego Sztabu N.W. za długoletnią, wyjątkowo gorliwą i nieskazitelną pracę w wojsku.

22 lipca: Rząd R.P. uznał oficjalnie francuski Komitet Narodowy Wyzwolenia.

23 lipca: Prezes Rady Ministrów przyjął Naczelnego Wodza gen. Sosnkowskiego, który złożył mu oficjalną wizytę.

—Oddziały amerykańskie wkroczyły do Palermo.

—Stalin podał, iż ofensywa niemiecka na Kursk, rozpoczęta w dniu 5 bm. została odparta i zadano Niemcom bardzo ciężkie straty.

25 lipca: Mussolini zrezygnował jako premier i sekretarz stanu.

—Król Wiktor Emanuel stanął na czele włoskich sił zbrojnych.

—Marszałek Badoglio został premierem i objął władzę wojskową nad krajem.

—Polskie dywizjony myśliwskie czterokrotnie osłaniały wyprawy bombowe. Z działań tych powróciły wszystkie samoloty polskie.

—W nocy z 24/25 polskie dywizjony bombowe atakowały Hamburg oraz przeprowadzały inne operacje bojowe.

26 lipca: W nocy z 25/26 polskie dywizjony bombowe brały udział w wyprawie na Essen. Jedna załoga nie powróciła.

Nowości lotnicze

Bombardowanie Rzymu miało podwójny cel: pierwszy w uderzeniu na centralny węzeł kolejowy i wielkie magazyny sprzętu, które Mussolini zcentralizował właśnie w Rzymie w nadziei, że przecież Alianci nie zdobędą się na krok tak odważny jak zaatakowanie świętego miasta. Drugim celem było uderzenie w nadwątlony mocno moral Włochów i wykazanie im, że jak długo Niemcy są w Italii wojna będzie nosiła charakter nieubłagany.

Nalot dzienny na Rzym nie natrafił na opozycję lotnictwa włoskiego. Lotnictwo włoskie przestało być dodatnią pozycją na koncie państw osi. Weszło do wojny źle uzbrojone, na przestarzałych maszynach, żyjąc jedynie sławą i legendą takich pionierów lotnictwa, jakimi byli de Pinedo, Maddalena czy Balbo. Stan pierwszej linii był szczupły, w stosunku do ambicji imperialnych Mussoliniego, lecz jeszcze szczuplejszy był zasób rezerw. Lotnictwo włoskie nie było nastawione na długotrwałą wojnę. Miało być straszakiem przeciw już pokonanej Francji. Po prędkim zwycięstwie powinno było tylko kontrolować kraje okupowane, do czego nie potrzeba ani nowoczesnego, ani zbyt licznego sprzętu. Tymczasem wojna przybrała inne oblicze.

Straty Reggia Aeronautica rosły, nie rosła jednak wcale skala uzupełnień sprzętu. Otworzył się nie jeden, lecz sześć rozmaitych frontów na które trzeba było wysyłać przetrzebione eskadry: Afryka wschodnia, Abisynia, Libia, Morze Śródziemne, Bałkany, wreszcie pod presją Niemiec — Rosja. Z dnia na dzień szczuplały stany personelu, maszyny niszczały. Tymczasem bomby brytyjskie porozbijały fabryki takie jak Fiat, czy Ansaldo. Niemcy nie dotrzymali zobowiązań przezbrojenia Reggia Aeronautica, nie dotrzymali także obietnic zaopatrzenia Italii w sprzęt przeciwlotniczy. To też w chwili gdy Alianci stanęli "ante portas," powietrze było puste i wolne dla ich niszczących wypraw bombowych. Rzecz przecie najzupełniej bez precedensu by nad stolicą wielkiego państwa, zaatakowaną bezpośrednio w jasny dzień harcowały bezkarnie fale bombowców nieprzyjacielskich i by ich załogi miały czas na precyzyjne bombardowanie.

Oto nekrolog Reggia Aeronautica, pięknego lotnictwa, które pierwsze wprowadziło do nowoczesnych zasad taktyki lotnictwo strategiczne, które pierwsze pokazało jeszcze w 1927 światu, że skoncentrowane siły powietrzne potrafią wpływać decydująco na przebieg wojny, które wydało niezapomnianych i nieodżałowanych pionierów obecnego lotnictwa komunikacyjnego, które pierwsze użyło samolotów do prac naukowych i kulturalnych. Które jednak pierwsze z wszystkich użyło siły wobec słabych i bezbronnych w wojnie abisyńskiej, przekreślając nimb bohaterstwa i cały dorobek kulturalny, który byłby godny potomków Italów . . .

Walka o Sycylię jest kapitalnym przyczynkiem do historii lotnictwa wojennego. Mimowoli szuka się porównań z tak niedawnymi wypadkami jak *Battle of Britain.* Niemcy "miękcząc" opór Anglików skierowali swój wysiłek na — Londyn, Brytyjczycy i Amerykanie skierowali swój wysiłek przeciw lotniskom, obronie nabrzeżnej, portom i okrętom. Celowość wysiłku bezpośredniego dała od razu rezultaty. Samo lądowanie odbyło się bez przeszkód i strat. Niemniej jeszcze raz przekonano się naocznie, że jawne cele są zbyt twarde do ugryzienia nawet przez najcięższe bomby. Same porty w Agrigento i w Syrakuzach nie zostały uszkodzone i mimo przynajmniej stu nalotów, nadawały się w dalszym ciągu do żeglugi. Ten incydent przykry dla lotnictwa alianckiego, w wyniku był zbawienny dla działań alianckiej marynarki. Bezpośrednio po zajęciu tych portów do kamiennych nabrzeży przybiły od razu statki z najcięższym sprzętem pancernym i artyleryjskim, dając w ręce Aliantów nowe atuty zwycięstwa w ciężkiej operacji taktycznej, jaką jest inwazja wielkiej wyspy z baz odległych.

Tymczasem północne Włochy były bombardowane z dwóch stron, przez siły marszałka Teddera, oraz przez ciężkie naloty *Bomber Command* aż z wysp Brytyjskich. W ostatnim czasie trzy razy *Bomber Command* docierało swymi *Lancastrami* do serca Italii. Pierwszy z nalotów uderzył w Turyn, skierowany przeciw komunikacjom kolejowym, tworzącym przy tym mieście jeden z najważniejszych węzłów przelotowych. Był to jeden z najciekawszych rajdów. Maszyny startujące w Anglii, lądowały na lotniskach śródziemnomorskich. Trzeba było przelecieć 2000 mil, z tego 3/4 z bombami i znaleźć lotniska dolotowe. Eskadry po wypełnieniu zadań miały przeprawę nie lada, bowiem trafiły na silne burze elektryczne, utrudniające nawigację. Jednak wyniki były doskonałe, przy stosunkowo niewielkich stratach.

Druga z wypraw miała na celu niszczenie źródeł siły elektrycznej w tej połaci Włoch, gdzie źródła te są szczególnie skoncentrowane. Między atakowanymi znalazły się takie węzły energii elektrycznej jak Bologna, Reggio Emilia, San Pola D'Enza, Arquata Scrivia, Brugherio i Cislago. Żywotności i siły Zjednoczonych lotnictw dowodzi spis atakowanych w ciągu jednego tygodnia celów. Poza wymienionymi, poza udziałem sił Teddera w bitwie o Sycylię, na kontynencie były atakowane: Aachen siłą ponad 400 bombowców, kiedy to 300 hektarów miasta zostało po prostu zgolone z powierzchni ziemi, fabryka Peugot w Montbelliard, lotniska w Le Bourget /tak dobrze znane lotnikom polskim/, w Villacoublay i w Amiens-Clichy. Ponadto zaatakowano Amsterdam i szereg mniejszych celów w zachodnich Niemczech.

Ciekawe są tabelki strat obu stron. Straty osi wynoszą /poza Rosją/ od dnia 11 lipca do dnia 17 lipca 1943: 8 bombowców, 115 myśliwców w Europie Zachodniej, gdy znowu nad Morzem Śródziemnym 152 myśliwców i 48 bombowców. W tym samym czasie Alianci stracili w Europie Zachodniej: 50 bombowców i 16 myśliwców oraz nad Morzem Śródziemnym 39 bombowców oraz 21 myśliwców. Zwraca uwagę stosunek strat obu stron, przypominający żywo *Battle of Britain.*

W ten sposób całokształt strat za lata wojny do dnia 17 lipca 1943 wyraża się w cyfrach:

Dla Osi — 14,951 samolotów oraz 35,351 personelu.

Dla Aliantów — 10,131 maszyn oraz 36,941 personelu.

M. J. GORDON

DZIAŁALNOŚĆ LOTNICTWA POLSKIEGO W WIELKIEJ BRYTANII

za czas od 1.VI.1943 do 30.VI.1943

Lotnictwo myśliwskie	Lotnictwo bombowe	
Ilość zestrzelonych samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 10 prawdopodobnych — 2 uszkodzonych — 7	Ilość wypraw: 15	Łączna ilość samolotów: 128
Lotnictwo rozpoznawcze 4 loty bojowe	Główne cele: Düsseldorf, Kolonia, Krefeld, Wupperthal. Minowanie wód nieprzyjacielskich. Patrolowanie mórz i walka przeciw żegludze nieprzyjaciela.	

Razem od początku działań do 30.VI.1943 na terenie Anglii i Bliskiego Wschodu

zestrzelono samolotów nieprzyjaciela: pewnych — 550 prawdopodobnych — 146 uszkodzonych — 181	Ilość wypraw: 533	Łączna ilość samolotów: 5373
	Samoloty Dowództwa Obrony Wybrzeża prawdopodobnie zatopiły 6 i uszkodziły 7 okrętów podwodnych.	

Lotnictwo rozpoznawcze wykonało 42 loty operacyjne

W piekle obozów koncentracyjnych

Rozpoczynamy w niniejszym numerze przedruk broszury powstałej w Kraju — wydanej i kolportowanej przez organizacje podziemne — która daje wstrząsający obraz życia w obozach koncentracyjnych, stworzonych przez Niemców na ziemiach polskich.

I.

Tysiąc osiemset pięćdziesiąt sześć lat temu św. Jan Ewangelista, umiłowany uczeń Chrystusowy, zesłany za wiarę do ciężkich robót w kamieniołomach, położonych na wysepce Patmos, pisał księgi Objawienia, nazwane Apokalipsą. Światu cesarzował wówczas Domicjan, a potęga państwa rzymskiego zdawała się sięgać gwiazd. Ludzkość dzieliła się na dwie nierówne części: obywateli rzymskich, którym wszystko było wolno, dla których nie istniało żadne prawo ni ograniczenie, i nieobywateli rzymskich, dla których również nie istniało żadne prawo, żadna możliwość ochrony. Stanowili mierzwę, gnój, potrzebne dla rozkwitu rasy panującej. Ten układ zdawna trwający zdawał się nienaruszalny.

Ale wzrok starca pracującego w kamieniołomach sięgał głębiej, widział dalej. Widział nie tylko rychły upadek kolosa rzymskiego, lecz upadek wszystkich podobnych mu mocarstw, na nienawiści i pysze opartych, mających być przez Bestię zrodzonymi w ciągu wieków. I dłonią osłabłą ze starości, lecz pewną, pisał pouczenia dla podległych mu kościołów:

“. . . Jam jest Alfą i Omegą. Początek i Koniec, mówi Pan Bóg, który jest i który był i który przyjdzie wszechmogący . . .

. . . Ja, Jan, brat wasz i uczestnik w ucisku, usłyszałem głos wielki jakoby trąby, mówiący: co widzisz napisz w księdze i poślij siedmiu kościołom, które są w Azji: Efezowi i Smyrnie, Pergamowi i Tiatyrze i Sardom i Filadelfii i Laodycei . . .

Do Efezu napisz: Znam sprawy twoje, pracę i cierpliwość twoją, i że nie możesz ścierpieć złych . . .

Do Smyrny: Nic się nie bój tego, co masz cierpieć.

Do Tiatyry: Znam wiarę i miłość twoją i twoje uczynki ostatnie . . .

Do Sardes: Znam uczynki twoje, iż masz imię, że żyjesz, lecz jesteś umarły.

Do Pergamo: Tam, gdzie mieszkasz stoi tron, stolica szatana, przecie nie zaparłeś się wiary mojej . . .”

To tron Zeusa, arcydzieło sztuki starożytnej, znajdujący się w Pergamo, słynnym z wyuzdanych misteriów ku czci Asklepiosa, wyobrażanego pod postacią węża, nazywa Ewangelista stolicą szatana. Obecność ośrodka kultu pogańskich bożków sprawiła, że kościół w Pergamo obowiązany był do większej niż inne czujności i gorliwości. Ten tron Zeusa nie zginął. Nie uległ zniszczeniu, nie rozsypał się w proch, nie został rozbity, nie skradli go rabusie, nie zmiażdżyły koleje wieków. Gdy tyle innych ważniejszych i cenniejszych zabytków świata starożytnego zanikło bez śladu, tron Zeusa istnieje. Stanowi cenną ozdobę muzeum, które się na jego cześć Pergamońskim zowie. Muzeum i tron znajdują się w B e r l i n i e . . .

NORMALNY OBOZOWY DZIEŃ

Do niedawna miasteczko nie wyróżniało się niczym z mnóstwa innych, eksgalicyjskich, zażydzonych miasteczek Rzeczypospolitej. Wrzaskliwa mniejszość przesłaniała stare, dostojne wspomnienia. Ginęły w niej resztki obronnego zamku, niegdyś stolicy udzielnego księstwa, wietrzała poetycka legenda o Janie i Annie, tragicznych kochankach, uparcie doczepiana do tych właśnie murów, choć dopełniona gdzieindziej. Nieopodal miasta, na płaskich łęgach nadrzecznych, wznosiły się po-austriackie koszary. Niegdyś panoszyła się w nich c. k. nuda, wielojęzyczne pułki habsburskiej monarchii, monokle oficerów, czerwone portki ułańskie. Potem niby piękny sen, jak trzaśnięcie z bicza, przemknęło dwudziestolecie, szalone, jurne, upojone wolnością. Strojne pułki poszły we wrześniu w ogień jak na bal i spłonęły jak pochodnia smolna, rzucona na stos. A ponad te wszystkie zmiany i odmiany, siostrzyce Wisła i Soła niby za cichą umową zalewały co rok, co rok, co każdziutki rok tę nizinę, łęgi i koszary, jak gdyby przewidując czego się staną widownią, pragnęły litościwie zmyć je zawczasu, zgładzić, zniweczyć, usunąć ze świata. By się nie mogło stać to, co się stać miało.

Taka była przeszłość Oświęcimia. Należało o niej wspomnieć, gdyż jest to wspomnienie ostatnie. Dla nikogo już bowiem, zarówno w Polsce, jak na całym świecie, osada ta nie zwiąże się z niczym ludzkim, pogodnym, a bodaj zwyczajnie powszednim. Po wszystkie czasy OŚWIĘCIM oznaczać będzie dantejski krąg piekła, szatańskie uroczysko, o którym się szepce ze zgrozą. Ludzkość zapomni o fortach Verdun, o szwedzkich okopach, tatarskich kurhanach, ucieczce z Dunkierki, zimowaniu Niemców w Rosji. Zapomni krucjat, Grunwaldu, Napoleoniady. Nie zapomni Oświęcimia. Bo Oświęcim wykracza poza ludzką miarę. Oświęcim zostanie po wiek wieków dowodem tego, do czego zdolni są ludzie, gdy dobrowolnie pójdą na służbę szatana.

Przedwiośnie późne i zimne 1942 roku. Godzina jest czwarta rano według okupanta, czyli według słońca — trzecia. Niewidzialny jeszcze świt zaledwie pobiela mrok. Zimny, przenikliwy chłód poranny kąsa ciała. W obozie rozlega się pobudka. Wstawać! W ciemnych czeluściach izb poczynają mrowić się ludzie. Izby są przepełnione. Budynki koszarowe obliczone były maksimum na 3 tysiące mieszkańców. Obecnie zajmuje je 12 tysięcy. To też siennik leży na ziemi tuż koło siennika, a na każdym sienniku śpi po dwu więźniów. W izbach panuje ciężki zaduch; przegniła słoma porusza się od robactwa. Ludzie, których obudził głos pobudki, nie czują się wypoczęci. Cóż to za spanie po dwóch na jednym sienniku! Ten chrapie, ów rzuca się przez sen, ów jęczy całą noc, ów jest pokryty wrzodami, tamten ma, jak większość więźniów, przeziębiony pęcherz i bezwiednie we śnie oddaje mocz na posłanie. Potem obaj z towarzyszem biedzą się, radzą, jak skryć ten fakt, by go nie zauważono, gdyż zabiją pod kijami. Ów zmarł tej nocy i kompan przeleżał parę godzin przyciśnięty do stygnącego trupa. Trudno się wyspać. Sztubowy popędza, by prędzej wstawano. Rozdaje kułaki na prawo i na lewo.

“Sztubowy” czyli izbowy, jest Polakiem. Taki sobie człeczyna, nieustannie zastrachany poczuciem odpowiedzialności. Władze wyznaczyły go z pomiędzy więźniów. Gdy nie odpowie zadaniu będzie bity narówni z innymi, może nawet gorzej. Więc drży. Nie chciałby brutalizować kolegów, z którymi dzielił do niedawna wspólny siennik, lecz cóż poradzi? Są tak otępiali, tak zobojętniali, że bez szturchańca nie zwrócą uwagi na jego słowa. Więc popycha, tłucze, szturcha, klnie, dopóki nie wstaną i obnażeni do pasa nie wyjdą myć się na dziedziniec.

Mycie! Zimna, świeża woda ocuciłaby niejednego, pomogła pozbyć się robactwa, podtrzymała słabnącą energię. Cóż, kiedy mycie jest, ale wody nie ma. Więźniom wolno myć się tylko przy pompie, a na cały obóz są dwie pompy! Dwie. Przy największym pośpiechu w ciągu czasu przeznaczonego na mycie, zdoła się do nich docisnąć 300 — 400 więźniów, gdy w ogonku czeka 10,000! Nie wolno wziąć z izby żadnego naczynia, menażki, wiadra, kubka, by zaczerpnąć wody i podać drugiemu — i mycie staje się fikcją. Skutkiem tych warunków niedoświadczeni nowicjusze nie myją się często po parę tygodni. Marzą o zlaniu głowy i bark dobrodziejstwem zimnego strumienia, lecz marzenie to staje się nieosiągalne. Doświadczeni bywalcy z ryzykiem życia zdobywają wodę w czasie pracy, omywają się śpiesznie, ukradkiem, rozumiejąc, że utrzymanie jakiej takiej czystości stanowi pierwszy warunek przetrzymania.

Ziębnięty, nagi tłum, stojący w beznadziejnej kolejce, stara się ogrzać wzajemnie przez bliskość ciał. Wychudzone torsy, grzbiety, na których kręgi krzyża sterczą rzędem guzów, przedstawiają żałosny widok. Niezagojone rany od pobicia, wewnętrzne wylewy, nagminnie panujące wrzody, świerzba, ropnie, odmrożenia ujawniają mękę bytowania. Zapadłe klatki piersiowe, rozdzierający kaszel znamionują daleko posuniętą gruźlicę. Mało kto zwraca uwagę na tę chorobę. W Oświęcimiu zajmuje ona stanowisko drugorzędne, gdyż n i e m a n a n i ą c z a s u. Więźniów dziesiątkuje krwawa biegunka, zapalenie płuc, tyfus, bicie, a przede wszystkim głód.

Szczęśliwcy, którzy dzisiaj dotarli do pomp, kończą mycie. Mydła w obozie nie ma, ręczniki są wspólne dla wielu. Ropa zgarnięta z ran na jednym tułowiu, przenosi się automatycznie na drugi. Zdarte strupy wędrują za pośrednictwem ręcznika z ciała na ciało.

Po myciu śniadanie. Płyn czarny i gorzki, zwany kawą, z maleńkim kawałkiem chleba. Teraz apel. Do apelu stawić się muszą wszyscy, nawet konający. Koledzy wywlekają ich z izb i układają w szeregu na ziemi. “Kapo” przechodząc sprawdza kopnięciem, czy nie symulanci.

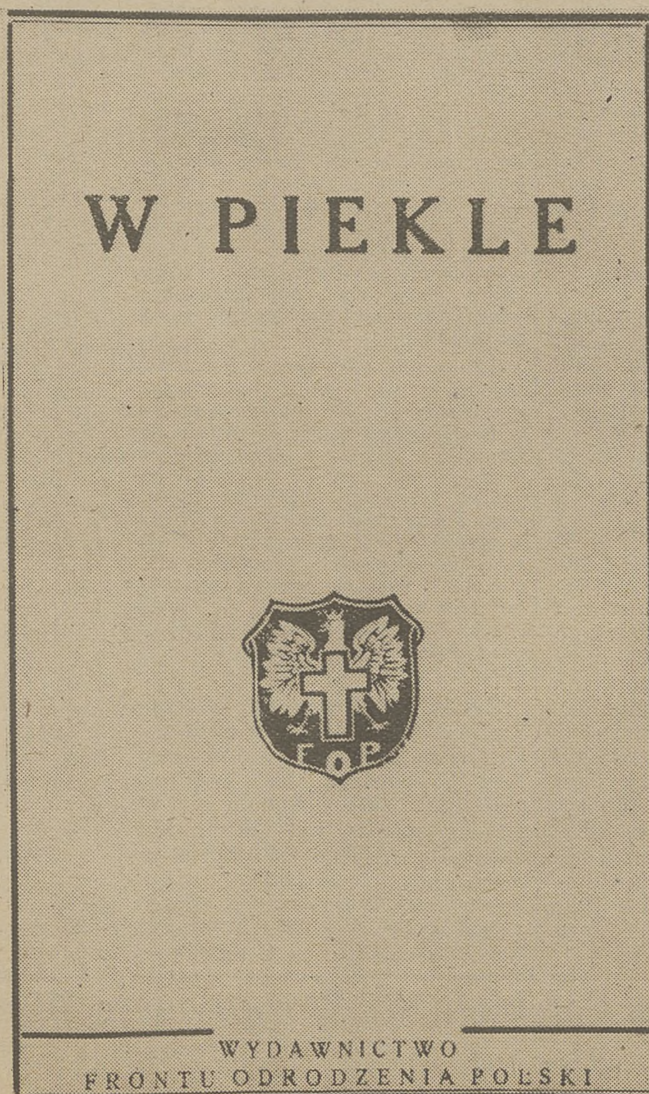
“Kapo” /z włoska “capo” — głowa, dozorca/, jest zawsze kanalią. Kapów dobierają spośród kryminalnych więźniów niemieckich. Są to zbrodniarze, mordercy, kasiarze, homoseksualiści. Nawet przypuściwszy, że znalazłby się wśród nich osobnik o ludzkim sercu — nie popasałby długo na swym stanowisku. Kapowie są obowiązani do katowania więźniów. Kapowie za cenę znęcania się nad innymi otrzymują zwolnienie z kary. Jeżeli obowiązku nie wypełniają, jeżeli ustaną w gorliwości, zostają natychmiast odesłani do obozów niemieckich jako więźniowie, nie jako dozorcy. Wolą bić innych, niż być bitymi, zasługują się władzom jak mogą, okradają przy tym więźniów z czego się da. Ujmują nawet z ich głodowej porcji.

Kapo stanowi zmorę więźniów. Kapo jest nieustannie obecny, w dzień i w nocy.

Przy apelu obowiązuje pozycja na baczność. Tę pozycję zachować trzeba bez zmiany czasem dwie godziny, czasem trzy, czasem sześć, czasem dwanaście, bywało że osiemnaście! Więźniowie stoją ramię przy ramieniu boso /drewniane chodaki dostają tylko w czasie silnych mrozów/ z gołymi, krótko ostrzyżonymi głowami. Odziani są w jednakowe ubrania z tkaniny drzewnej w paski szaro-granatowe. Obrzydła tkanina drzewna! W razie zmoknięcia staje się sztywna jak deska. W zimie, choć dość gruba, nie daje żadnego ciepła.

Odzież wędruje z więźnia na więźnia, ze zmarłych na żywych, a dozorcy radzi wykorzystać każdą okoliczność dla dokuczenia więźniom, przydzielają złośliwe rozmiary, dają wielką bluzę i spodnie małym, małe rosłym, co jest przyczyną tragicznej groteskowości widoku. A twarze? Twarze są niepodobne do żadnych innych. To nie są twarze męczenników, galerników, skazańców, czy bohaterów. To są twarze u m a r ł y c h. Leży na nich piętno grobu. Ich siność tchnie mogiłą. Trupie wrażenie potęgują niedowłady mięśni, wynik przemęczenia i głodu. Opadanie lub nienormalne uniesienie powieki, i niedomykanie się ust, chwiejne ruchy, niemożność utrzymania w dłoni kubka, lub narzędzia. Stojąc słaniają się jak płomień gasnący na wietrze. Wprawne oko rozpozna wśród nich jednostki, wykończone głodowo, które pożyją najwyżej tydzień, dwa. Ostateczny proces zaczyna się opuchnięciem oczodołów, za nim idzie opuchnięcie całej twarzy, potem opuchnięcie kończyn i śmierć.

Podobizna oryginału wydanego konspiracyjnie w Polsce



W PIEKLE

WYDAWNICTWO
FRONTU ODRODZENIA POLSKI

Cechy trupiego wyniszczenia sprawiają, że ludzie stojący w szeregu zdają się wszyscy podobni do siebie, acz pochodzą z różnych środowisk i niegdyś przedstawiali skrajnie różne typy ludzkie. Stoją pospołu naukowcy, artyści, księża, prawnicy, ziemianie, rzemieślnicy, robotnicy, chłopi, żołnierze. W olbrzymiej większości inteligencja. Można określić klasy pracujące fizycznie na 20% więźniów, inteligencję i uczącą się młodzież na 80%.

Piekło oświęcimskie zostało założone w czerwcu 1940 roku. Inauguracji dokonało 1200 więźniów zwiezionych z Krakowa od Montelupich, z Sanoka, Tarnowa. Te dwie ostatnie miejscowości dostarczyły kontyngentu młodzieży i oficerów usiłujących przekraść się na Węgry. Kilkuset przysłano z więzień niemieckich, Katowic, Bytomia, oraz z Centrum Wyszkolenia Esesów we Wrocławiu. Wymienione Centrum stanowi instytucję jedyną w swoim rodzaju, chociaż nie jedyną w Niemczech. Jest to szkoła katowania ludzi. Znajdujący się w niej więźniowie spełniają rolę królików doświadczalnych, na których zaprawiają, ćwiczą się przyszli oprawcy. Więźniowie wrocławscy przybywszy do Oświęcimia pouczyli kolegów o tym, co ich czeka.

Do pierwszych 1200, w sierpniu nadesłano 2 tysiące samych politycznych. W październiku przyszedł pierwszy kontyngent ofiar łapanek ulicznych 1800 ludzi. Potem ilość wciąż się wzmagała, by dojść do obecnego stanu około 15.000 ludzi. Dostarczają ich transporty przesyłane z Pawiaka, są to zatem nieomal więźniowie polityczni, niepodległościowcy, tajni żołnierze Rzeczypospolitej.

Tym mękę łatwiej jest znieść. Biedni za to są ci, których tu przysłano trafem łapanki ulicznej, odpowiedzialności zbiorowej. Tego wzięto z kościoła, tamtego z kawiarni, ów szedł z żoną i dzieckiem na spacer, tamten śpieszył się do biura. Ludzie spokojni. Bali się pracy konspiracyjnej, nie brali do ręki niebezpiecznych gazetek. Wierzyli, że dzięki daleko idącej ostrożności nie spotka ich żaden kataklizm. A oto w chwili, gdy się najmniej spodziewali, zło spadło na nich. Dostali się w kręgi piekieł. Są cierpiącymi duszami, wydanymi w moc szatana.

Lecz każda dusza ma własną pojemność i z ogromu spadającej na nią grozy zatrzymuje tyle tylko, na ile ją stać. Przeto pod pozornie jednolitym wyglądem ludzie pozostali różni, wielcy i mali, wzniośli i płascy, bohaterscy i tchórzliwi, zdający sobie sprawę z tego, co się wokół nich dokonywa, i struchlałe zwierzątka myślące tylko o sobie. Tacy i tacy. Wierny przekrój społeczeństwa.

Cała rzecz w tym, których okaże się większość. Na tej podstawie dopiero można wnioskować o sile lub słabości narodowej. I otóż z dumą stwierdzić należy, że w znajdującym się tu konglomeracie o l b r z y m i ą większość, wyrażającą się w 80%, cechuje wzgardliwa obojętność na razy i zawzięta hardość. /Myślisz szkopie, że ci będę buty lizał? . . . Niedoczekanie!!/ — świadczące o wysokiej klasie rasy. Ta postawa nie jest przywilejem pewnych środowisk czy grup. Stanowi ona znamię narodowe. Cechuje zarówno inteligenta, jak robotnika, czy chłopa. Jedną tylko zaobserwować można różnicę: niepodległościowcy wytrwalsi są, niż przypadkowo pochwyceni. Twarda, zaprawiona wola walki i zwycięstwa pomaga do przetrwania. To też najszybciej kruszy się i wymiera element skazany za “usuwanie się” od pracy, czyli upicie, spóźnienie do roboty w poniedziałek i t.p.; tego elementu dostarczają Łódź i Śląsk.

Położenie Ślązaków w obozach koncentracyjnych jest szczególnie trudne. Władze niemieckie wywierają silny nacisk, by zdeklarowali się jako Volksdeutsche. Kuszą ich wolnością, grożą, namawiają. Zdarza się, że słabszy ulegnie i . . . wypuszczony z obozu zostaje natychmiast wcielony do wojska. Większość jednak pozostaje głucha na wszystkie namowy. “Polok jestem to nie będę godoł żech Niemiec, Polok jestem, Polokiem ostanę.”

Pomiędzy więźniami panuje solidarność. Przez pierwsze tygodnie świeżo przybyli jeszcze się boczą na innych, oglądają zawistnie na zwalnianych, razi ich niejedno w zachowaniu towarzyszy. To szybko mija. Wspólność niedoli wywołuje uczucie braterstwa tak silne, że ogół cieszy się szczerze, gdy kogoś zwalniają, sam zwolniony zaś odczuwa zakłopotanie i zawstydzenie . . . “Jakże to wyjdę, kiedy wy tu zostajecie.”

Odradzająca się Francja

Jednym z wielkich aktywów w przygotowujących się obecnie na europejskim polu walki rozstrzygających wypadkach wojennych jest fakt moralnego i politycznego odradzania się Francji. Niewątpliwie odegra on swoją rolę w niedalekich działaniach Sprzymierzonych na kontynencie europejskim. Udział sił francuskich w zwycięstwie Sprzymierzonych w Afryce był ważnym i pożytecznym wielce do tego wstępem.

Z pomyślnego dla Francji zwrotu wyłania się cały szereg zagadnień dalszych. Chodzi przecież nie tylko o to, czy naród francuski zdoła powrócić do źródeł swojej dawnej siły duchowej, z których kultura francuska wydobyła cenne skarby, tworzące dziś dorobek całej ludzkości. Dla odpowiedzialnych kierowników ważniejsze jest na razie pytanie, czy Francja już w niedalekiej przyszłości zdobędzie się na ponowne pełnienie takiej roli politycznej, jaką przez długie okresy chlubnie odgrywała w historii Europy. Chodzi o to, czy poprzez imperium kolonialne, głos Francji odnajdzie dawne swoje znaczenie przy regulowaniu zagadnień światowych. Nas, Polaków zajmuje ponad to ważkie dla naszej przyszłości zagadnienie, czy odrodzi się także dawny, tradycyjny stosunek przyjaźni i współdziałania Polski i Francji, który tylokrotnie w historii okazał się zbawienny dla obu krajów, a którego osłabienie czy niedocenianie przynosiło zawsze ujemne dla nich skutki.

Katastrofy takich rozmiarów i doniosłości jak obecna, naród francuski nie przechodził od kilkunastu wieków, w ciągu których zapisał się najchlubniej w dziejach cywilizacji i kultury i zajmował przez długie okresy czasu miejsce przewodnie wśród narodów świata. Z dziejów tego posłannictwa i z pozostałego z niego najlepszego dziedzictwa duchowego czerpie dziś naród francuski siły do odbudowy moralnej i politycznej i do przygotowania sobie nowej, lepszej przyszłości.

Nie tylko Francuzi walczący od trzech lat u boku sprzymierzonych narodów poza granicami ojczyzny, lecz sam naród francuski nabiera świadomości, że opierając się wszelkimi siłami najeźdźcy i wysługującym się mu "kolaboratorom," walczy o istnienie Francji i swoją własną przyszłość. Gdy we Francji mijać poczęło osłupienie, w które wpadły szerokie koła społeczeństwa wskutek nagłych i zupełnie nieoczekiwanych, a katastrofalnych ciosów z maja i czerwca 1940 r., zaczęto sobie powoli zdawać sprawę z sytuacji, w której znalazła się Francja, a w której nikt nie pytał o zdanie ujarzmionego narodu.

Generał de Gaulle, stanąwszy na czele stosunkowo szczupłego wówczas grona francuskich patriotów, ogłosił już 18 czerwca 1940 r. z Londynu swój historyczny apel do narodu francuskiego, wzywając do dalszej walki przeciw napastnikowi niemieckiemu. Apelując do poczucia honoru, do zdrowego rozsądku i do patriotyzmu swoich ziomków, stwierdził, że Francja przegrała bitwę, ale nie przegrała wojny, która może być i będzie wygrana.

OPÓR FRANCJI KATOLICKIEJ

We Francji, w strefie wówczas nieokupowanej, pierwsze hasła oporu wyszły z kół Francji katolickiej, tej która opierała się na socjalnych encyklikach Kościoła katolickiego i która stała zawsze w przeciwieństwie do kół reprezentowanych obecnie przez Vichy i jego politykę. Organy tych kół, "*Esprit*" i "*Temps Nouveau,*" zostały wkrótce zakazane. Redaktor "*Esprit*" został uwięziony za ostrą krytykę systemów totalitarnych, którym przeciwstawił nakazy odwieczne nauki chrześcijańskiej: wolności, sprawiedliwości i poszanowania godności ludzkiej, ujmowane przez niego w ten sam sposób, jak to czynił w ostatnich latach swojego życia w Polsce ś.p. Wojciech Korfanty w znanych swoich artykułach ogłaszanych w "Polonii." Vichy wydało wkrótce również zakaz wydawania pisma "*Temps Nouveau,*" które poczęło wychodzić w miejsce poprzednio już zakazanego organu katolickiego ruchu społecznego "*Temps Présent.*"

Z Nowego Yorku, gdzie współdziała z innymi uczonymi świata katolickiego, znany i wysoko ceniony powszechnie filozof Jacques Maritain wydał odezwę do młodzieży francuskiej, wzywając do wiary w przyszłość Francji, do wierności dla jej misji dziejowej i wykazując, że katolicyzm polegający na powszechności prawdy, która wyzwala, i na miłości, która odkupuje, jest przeciwieństwem totalitaryzmu, i że Francja Joanny d'Arc nie może nigdy stać się pośrednikiem między rewolucją antychrześcijańską a Kościołem Chrystusowym.

METODY PROPAGANDY NIEMIECKIEJ

Były to druga połowa r. 1940 i pierwsza połowa r. 1941, kiedy Niemcy głosili, że W. Brytania, której wówczas tylko rząd i naród polski dochowywał wierności, padnie wkrótce i że wojna zakończy się zwycięstwem Niemiec. Wykorzystując wszelkie siły i zasoby Francji dla niemieckich celów wojennych, czynili to Niemcy jednak od samego początku mimo wszystko znacznie mniej brutalnie, niż w Polsce, Jugosławii, Czechosłowacji i Grecji. Poza tym system hitlerowski zastosował jeszcze wobec Francji specjalnie wystudiowane metody najperfidniejszej propagandy z współudziałem własnego aparatu, który dawno przed wojną przygotowano we Francji do tych zadań, oraz przy pomocy piątej kolumny t.zw. "kolaboratorów" ze społeczeństwa francuskiego, z którymi również w dużej mierze już przed wojną nawiązano odpowiednie kontakty. Metody te, w których nadużywano nikczemnie wszystkiego, co Francuzom było drogie, począwszy od misji Francji w Europie, aż do takich świętości jak Joanna d'Arc, demaskowało radio londyńskie.

REAKCJA FRANCUZÓW

Bystry, wnikliwy i logicznie myślący umysł francuski począł wkrótce coraz lepiej zdawać sobie sprawę z sytuacji. Prześladowanie Żydów, brutalne odrywanie dzieci od rodziców, wywożenie robotników do Niemiec, rozstrzeliwanie zakładników i t.p., wszystko to wzmogło zarówno w okupowanej, jak i nieokupowanej Francji opór powstały z rosnącej stale świadomości niebezpieczeństwa śmiertelnego grożącego ojczyźnie. "Francja jest na drodze do zatracenia swego ciała i swej duszy" — przestrzegało w r. 1941 pismo podziemne "*Combat,*" wzywając zwłaszcza ludność robotniczą i wiejską do oporu i walki z okupantem. "Francjo, strzeż się zatracić swoją duszę!" — brzmi tytuł pierwszego zeszytu "*Cahiers du Témoignage Chrétien,*" które poczęły ukazywać się tajnie od r. 1941 w miejsce zakazanych organów katolickiej pracy socjalnej i podjęły walkę z systemem kollaboracji. Coraz dotkliwsze represje niemieckie, wygładzanie Francji z niemiecką systematycznością i gruntownością działały coraz więcej podniecająco.

ZESPOLENIE NARODU

"*Oczyszczając się przez cierpienie, lud francuski odnalazł swoją duszę! Powrócił do źródeł swojego życia! Odkrył na nowo głęboką treść haseł, dla których jego ojcowie walczyli i poświęcali swoją egzystencję.*"

Tak pisał w czerwcu 1942 r. jeden z czołowych dzienników podziemnych "*Libération.*" Wspólna niedola wyrównywała dawniejsze różnice i przeciwieństwa partyjne. Górę wzięły hasła jedności w walce przeciw najeźdźcy niemieckiemu jako wspólnemu wrogowi. Coraz więcej nowych ludzi, którzy stanęli na czele tego ruchu, rozumie, że Francja odnajdzie jedność tylko, jeżeli powróci do swojej dziejowej misji katolickiej i do zasad prawdziwej, chrześcijańskiej demokracji. Potępiając błędy i wady Trzeciej Republiki, dążą do stworzenia Czwartej Republiki odrodzonej i opartej na wypróbowanych podstawach religijnych i ideałach wolności i sprawiedliwości socjalnej.

Akcję oporu popierają także komitet akcji socjalistycznej i partia komunistyczna; ta ostatnia stała się szczególnie czynna od czasu ataku niemieckiego na Rosję. Nie uszło jednak uwadze mas francuskich, że wśród "kolaboratorów" znalazła się dość znaczna liczba inteligentów ambitnych, którzy dawniej należeli do partii bądź socjalistycznej, bądź komunistycznej, jak n.p. Doriot, Déat, Spinasse, Faure, Laval, Février i wielu innych. Odgrodzono się przeto od wszystkich skompromitowanych jakąkolwiek bądź współpracą, nawet od takich dawnych przywódców, którzy przez pewien okres czasu zajęli stanowisko wyczekujące.

HASŁA NOWEJ FRANCJI

Hasło jedności prawdziwej celem zbudowania Francji nowej góruje w pracy podziemnej. Młodzież czerpie natchnienie z nieśmiertelnych czynów Joanny d'Arc, z głębokich haseł Péguy, kardynała Verdier, którego praca misjonarska i socjalna w diecezji paryskiej przynosi obecnie owoce obfite.

"*Chcemy przywrócić Francji jej chwałę!*"

"*Chcemy przywrócić Francji jej godność!*"

"*Chcemy przywrócić Francji jej jedność!*"

"*Lud chce prawdy!*"

"*Lud chce wolności!*"

"*Chcemy uwolnić ojczyznę, zbudować nową Francję, zorganizować pokój!*"

Tak wołają dziś zgodnie wszystkie organizacje tajne we Francji i wszystkie pisma podziemne.

Podstawową ideą walorów duchowych, na których opiera się obecne odrodzenie Francji, jest postulat poszanowania osobowości ludzkiej, jej praw i godności i tę ideę przewodnią nazywa obecny przywódca socjalizmu francuskiego André Philip, zgodnie z filozofem katolickim Maritainem, główną cechą "naszej zachodniej cywilizacji chrześcijańskiej." I zgodnie z nauką katolicką André Philip tłumaczy:

"*Dla nas natomiast /w przeciwieństwie do pogańskiej starożytności/, człowiek nie jest tylko kawałem materii lub zwierzęciem. Ma on w sobie coś więcej, coś, co stanowi całość, wszechświat, w którym przez myśl i przez miłość zamieścić się może świat, coś, co góruje nad czasem i śmiercią. Człowiek nie jest jednostką odosobnioną, nie jest całością zamkniętą, lecz otwartą ku innym osobowościom, biorącą udział w życiu społecznym przez szereg zbiorowości lokalnych, rodzimych, zawodowych, które jednak są wszystkie oparte na podstawie osobowej. Społeczeństwo jest przeto całością wszystkich, całością wolności i powinno wykonywać funkcję pozytywną. Nie chodzi o stworzenie tylko próżnych ram, w których mogą działać inicjatywy indywidualne, pozwalając najsilniejszemu opanować najsłabszego wedle starej formuły "Laisser faire, laisser passer." Społeczeństwo ma cel określony, ma spełnić właściwe sobie powołanie, które nie polega na obronie nie wiedzieć jakiego interesu generalnego, gdyż zawsze istniały tylko interesy partykularne, lecz ma na celu koordynację i hierarchizację wszystkich interesów partykularnych, a nawet zbiorowych w służbie wartości ogólnej.*"

"*Człowiek jest przeto poddany społeczeństwu, ale równocześnie przerasta je, ponieważ będąc mu podporządkowanym w dziedzinie politycznej i ekonomicznej, wykraczą poza nie wszystkim, co wiąże go w nim z życiem religijnym, duchowym i artystycznym. Człowiek jest w służbie grupy, ale grupa nie osiąga swojego celu inaczej jak służąc człowiekowi i wiedząc, według wspaniałej formuły Maritaine'a, że każdy człowiek ma tajniki, które wychodzą poza grupę i ma powołania, które nie mieszczą się w grupie.*"

Zgodność wybitnego uczonego i przywódcy socjalizmu z filozofią katolicką przez niego samego zresztą podkreśloną, jest podstawą zbliżenia, jakie dokonało się we Francji między wszystkimi, którzy, jak pisze André Philip, w ramach oporu francuskiego usiłują przemyśleć swoją akcję. Zgoda wśród dużej części społeczeństwa francuskiego jest więc oparta na jednakowym pojmowaniu fundamentalnych zasad cywilizacji, zachodniej i chrześcijańskiej. Ewolucja ta, która — miejmy nadzieję — będzie trwała, jest więc zasadniczo różna od marksizmu i jego niemieckich i wschodnich tłumaczeń, modnych niestety jeszcze dziś w niektórych kołach, których tragedia Europy niczego nie nauczyła. Przemiany głębokie, jakie dokonują się we Francji, umożliwiły obecnie zbliżenie między chrześcijańskimi demokratami Francji, a socjalistami francuskimi, i doprowadziły do złączenia całego francuskiego ruchu zawodowego w jedną całość.

GIRAUD I DE GAULLE

André Philip, który ogłosił swoje rozważania "o prawnych i moralnych podstawach oporu francuskiego" w "*Volontaire,*" organie francuskiej sekcji organizacji katolickiej "Miecz Ducha," jest dziś członkiem "Francuskiego Komitetu Oswobodzenia Narodowego" /*Comité Français de la Libération Nationale*/ utworzonego w Algierze pod przewodnictwem generałów Giraud i de Gaulle. Pomiędzy obydwoma generałami zaistniały zażegnane w tej chwili różnice zdań w sprawie reorganizacji armii francuskiej. Gen. de Gaulle już kilka lat przed wojną poświęcał temu zagadnieniu dużo uwagi, wysuwając własną koncepcję, potwierdzoną przez doświadczenia wojenne. Z drugiej strony gen. Giraud, znany jako nieskazitelny patriota, jest starszy służbą i rangą od gen. de Gaulle'a i uchodzi za pierwszorzędnego dowódcę armii. Stoi również na gruncie konstytucji republikańskiej, popierany jest zaś przez żywioły raczej umiarkowane.

Różnice zdań, jakie mogłyby się jeszcze pojawić, nie zmienią w niczym zasadniczego zjednoczenia dokonanego już przez obie strony, którego wyrazem jest wspomniany już "Francuski Komitet Oswobodzenia Narodowego," zyskujący coraz więcej na powadze i znaczeniu. Uzgodniono bowiem, że Komitet ten zastępuje rząd francuski i posiadać będzie jego uprawnienia tak długo, aż według postanowionej już metody, nie stworzy się na terenie oswobodzonej Francji władz przewidzianych w jej konstytucji republikańskiej, której ewentualną rewizję pozostawia się zgromadzeniu narodowemu.

FRANCJA ZMARTWYCHWSTAJE

W kołach francuskich rosną nadzieje, że Francja odnowiona stanie na nowych podstawach oczyszczonych ze zgubnych teorii obcych i starać się będzie, na mocy reform politycznych, ekonomicznych i socjalnych, zwiększyć jedność społeczeństwa francuskiego i nawiązać do chrześcijańskich tradycyj francuskich.

"*Wszystko z przeszłości rozsypało się w gruzy. Stare partie przeważnie zniknęły. Dawne organizacje są zniszczone, nie roztrząsa się więcej zagadnień politycznych lub ekonomicznych w tych samych formach, na tych samych podstawach, co dawniej*" — stwierdza André Philip, który niezbyt dawno przybył z Francji do Londynu i obecnie jest w Algierze. Przestrzega on zarówno aliantów jak i ziomków swoich, będących zagranicą od czasu zawieszenia broni, że "*zupełnie nie chodzi o dalszy ciąg przeszłości, ani o powrót do epoki przed potopem. Francja jest narodem, który umarł, umarł zamordowany, wstąpił do piekieł, i w tym trzecim roku wojny poczyna, poprzez walki i cierpienia niewypowiedziane powstawać z martwych do nowego i na nowych zasadach opartego życia.*"

Natomiast delegat Komitetu Akcji Socjalistycznej we Francji, Feliks Gouin, raczej jest zdania, że dawna partia socjalistyczna istnieje dalej, pozbywszy się jedynie około 30 b. posłów, którzy z ogólnej liczby 200 stanęli po stronie wroga.

PRZYCZYNY UPADKU FRANCJI

Francuscy pisarze, działacze i ludzie nauki, których poważna liczba znalazła się w W. Brytanii oraz w Ameryce, opublikowali szereg poważnych badań nad przyczynami upadku Francji i nad drogami odrodzenia jej. W sprawie tej nie brakło zresztą literatury już przed wojną. Badania te, przepełnione patriotyczną troską o przyszłość Francji, odsłaniają bezwzględnie bolączki przeszłości. Domagają się w szczególności odbudowy Francji i zorganizowania europejskiej jedności na zasadach moralności i sprawiedliwości chrześcijańskiej, bezwzględnego uwolnienia życia publicznego i parlamentarnego od przewagi interesów kapitału oraz doktryn materializmu i ateizmu, które — przeważnie pochodzenia niemieckiego — od około 150 lat przenikały i zakorzeniły się we Francji i wielu innych krajach.

Wskazują te głosy na to, że już Karol Wielki, Anglia podczas stuletniej wojny, Hiszpania Karola V., Francja Napoleona i Niemcy Bismarcka, Wilhelma II. i Hitlera głosili potrzebę zjednoczenia Europy, ale czynili to zawsze dla własnej korzyści. Zjednoczenie większe narodów Europy powstać może tylko na zasadzie zupełnego równouprawnienia i przywrócenia w życiu narodów i państw odwiecznych zasad chrześcijańskich, które formowały ich duszę. Podkreślał to szczególnie wielki przyjaciel Polski i apostoł sprawiedliwości społecznej, ś.p. ks. kardynał Verdier, mówiąc wielokrotnie o stronie moralnej i duchowej obecnej wojny i stwierdzając, że poza wojnami krzyżowymi, stawka w żadnej z wojen nie była więcej duchowa, moralna i chrześcijańska, jak w wojnie obecnej.

KONIECZNOŚĆ NAWIĄZANIA DO TRADYCJI FRANCJI

Mnożą się przeto głosy wzywające, by powrócić do tradycyj, które przez wieki formowały duszę narodu francuskiego i stworzyły Francję wojen krzyżowych i w niebo wspiętych katedr gotyckich, Francję Joanny d'Arc i Francję wolności, równości i braterstwa z r. 1789, oraz Francję ofiarnej a zwycięskiej obrony z r. 1914-1918, z której wyszła nie tylko osłabiona niestety, ale także zawiedziona w swoich nadziejach i dążeniach. Niektórzy Francuzi stawiają francuskiemu społeczeństwu za wzór przykład Anglii i narodu angielskiego, zdecydowanego ryzykować wszystko, swoją krew i swoje miasta, wszystkie swoje bogactwa, skarby i dzieła sztuki, i zginąć, jeżeli potrzeba, ale zginąć w walce. W duchu ofiary i jej olbrzymiej wartości moralnej dla jedności narodu, najlepsi pragną dokonać zjednoczenia sił Francji.

STOSUNEK NOWEJ FRANCJI DO INNYCH NARODÓW

W społeczeństwie francuskim nastąpiło też większe zrozumienie wszystkich cierpiących narodów, zwłaszcza Polaków, Czechów, Jugosłowian i Greków. Przyznaje się obecnie, że dawniej miano współczucie dla tych narodów, ale współczucie połączone z przeświadczeniem, że n.p. Francję nie mógłby spotkać los podobny do losu Polski. Dzisiejszy wspólny, tragiczny los dokonał więc większego zbliżenia duchowego. Okazano je już rodakom naszym, którzy pozostali we Francji, oraz jeńcom wojennym, którym powiodło się zbiec z niewoli niemieckiej. Nie ulega wątpliwości, że w duszy społeczeństwa francuskiego pogłębiły się podstawy, na których będzie można po wojnie oprzeć silnie wzajemne stosunki nowej Polski i nowej Francji.

Czy Francja odzyska w pełni swoje dawne stanowisko mocarstwowe? — Premier Churchill kilkakrotnie podkreślił swoją wiarę w narodowe odrodzenie Francji i zapowiedział, że Francja po zwycięstwie zjednoczonych narodów odzyska swoje dawne posiadłości. Reszta zaś zależeć będzie od duchowych sił, jakie wyzwoli dokonujące się odrodzenie, i jak dalece siłom tym powiedzie się przezwyciężyć dawne słabości. W każdym razie liczyć się należy z faktem doniosłym, że Francja się odradza, czego z większą nie wita radością, niż społeczeństwo polskie.

MICHAŁ KWIATKOWSKI

Każdy żołnierz Polskich Sił Zbrojnych w Wielkiej Brytanii jedną książkę—dla żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie

Z dziejów wojska brytyjskiego

I.

Dzieje Wojska Brytyjskiego muszą z natury rzeczy nas obecnie bardzo interesować, gdyż od jego powodzenia w znacznym stopniu zależy i nasz los, a żeby znać jego wartość trzeba poznać jego przeszłość.

Studia w tej dziedzinie nie



Żołnierz angielski z drugiej połowy XV wieku

przedstawiają trudności, gdyż historia wojska brytyjskiego posiada bogatą literaturę. Jeśli chodzi o dzieła ogólne, przedstawiające całość zagadnienia, na pierwszy plan wysuwa się monumentalna praca Sir Johna Fortescue, która jednak ze względu na swoje rozmiary jest mało dostępna—liczy 13 tomów i jest doprowadzona do r. 1870. Z mniejszych prac należy wymienić doskonałą " Krótką historię Armii Brytyjskiej " kapitana Shepparda oraz prace kapitana Wheelera i generała Andersona.

Przede wszystkim musimy ustalić jedną charakterystyczną cechę armii brytyjskiej. Jest ona od kilku setek lat bardzo nieliczna w czasach pokojowych. W chwili niebezpieczeństwa zostaje rzucona na nieprzyjaciela, co zwykle pozwala tyle zyskać na czasie, że się udaje stworzyć poza jej plecami drugą armię, liczną, gorzej wyszkoloną, nie mającą już charakteru zawodowego. W wielu dawnych wojnach znaczna część każdorazowego wojska zawodowego poległa, pozostawiając nowosformowanej masie tylko kadry i świetną, pełną chwały tradycję dawnych pułków. Oczywiście odnosi się to do wielkich wojen na kontynencie, a nie do wypraw kolonialnych, prowadzonych stosunkowo nielicznymi siłami. Rozstrzygające zwycięstwa odnosiła już zwykle ta nowa, liczniejsza armia.

Drugą charakterystyczną cechą wojska brytyjskiego jest fakt, że, podług określenia jednego z jego historyków, kapitana Shepparda, jest ono jakby pociskiem wyrzucanym przez marynarkę na ląd, przy czym nigdy nie wiadomo, gdzie ten pocisk będzie musiał polecieć, a więc musi być odpowiednio zahartowany i zdolny do wszystkiego.

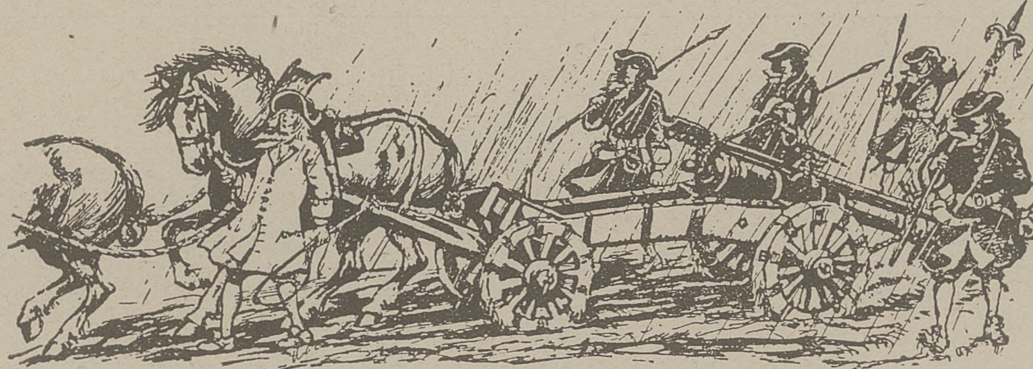
Studium sił zbrojnych Wielkiej Brytanii musimy rozpocząć od daty bardzo odległej. Gdy w r. 55 przed Ch., legiony rzymskie wylądowały na dalekiej wyspie miały już ciężką pracę ze źle uzbrojonymi i niezorganizowanymi plemionami Celtów. Później dopiero, w r. 43 po Chr. udało się wyspę podbić i dawni jej mieszkańcy zaczęli powoli wstępować na służbę do wojsk zdobywców. Wycofanie legionów i napad Anglów i Sasów zniszczyły cały ówczesny porządek, wprowadzając nowe obyczaje i nową organizację wojskową, taką, jaka była ona u wszystkich ludów germańskich na kontynencie.

Z chwilą opanowania Anglii przez Duńczyków pojawia się, na jakiś czas tylko, pierwsza stała siła zbrojna na wyspach. Są to tak zwani " *house earls,*" drużyna władcy, złożona z ludzi przez niego całkowicie utrzymywanych i opłacanych—doskonale wyćwiczonych zawodowych żołnierzy. Instytucja ta tak się przyjęła, że po wypędzeniu Duńczyków, trwała nadal przy boku saskich monarchów a pole bitwy pod Hastings w 1066 r., usłane było trupami żołnierzy wiernych do końca nieszczęśliwemu królowi Haroldowi.

Drużyna ta, jako organizacja, jest zupełnie podobna do drużyny pierwszych naszych władców: Mieszka i Bolesława Chrobrego, której dokładny opis mamy dzięki pismom arabskiego kupca i podróżnika Ibrahima Ibn Jakuba. Różni się jednak od niej pod tym względem, że polska drużyna była wyłącznie konna, saska zaś piesza. Koni na wyspach było mało, przyzwyczajono się walczyć pieszo, tak że nawet ci nieliczni co konie mieli, do walki z nich zsiadali.

Bitwa pod Hastings była więc zwycięstwem ciężkiej normandzkiej jazdy nad saską piechotą. Wojsko Wilhelma Zdobywcy nie różniło się niczym od ówczesnych wojsk feudalnych reszty Europy, główną jego siłę stanowili więc ciężko zbrojni rycerze walczący konno.

Wygląd ich znamy dziś bardzo dokładnie dzięki pracy żony króla, Matyldy, która pozostawiła niezmiernie ciekawe, aczkolwiek nie pisane, dzieło historyczne—" *the Bayeaux tapestry.*" Jest to bardzo długi i wąski haft, wyobrażający całe dzieje wyprawy Wilhelma: przygotowanie, ładowanie okrętów, samą bitwę i t.d. Rysunek,



Artyleria w końcu siedemnastego wieku

choć niezmiernie naiwny jest bardzo dokładny, poza tym haft posiada objaśniające napisy łacińskie.

Widzimy na nim dobrze nam znane z kontynentu postacie w stożkowatych hełmach, zbrojach skórzanych, nabijanych gwoździami, lub zaopatrzonych w naszyte kółka żelazne, proste obosieczne miecze, włócznie i łuki. Normanowie walczą konno, Sasi pieszo. Ci ostatni są uzbrojeni tak samo z tą jednak różnicą, że walczą swą narodową bronią—wielkimi dwuręcznymi toporami.

Dalszy rozwój sił zbrojnych Anglii nie różni się od kontynentalnego. Wojsko feudalne, zwoływane przez władcę, składało



Łucznicy angielscy z czternastego wieku

się z wasali różnych szczebli z ich siłami zbrojnymi. Jedyną różnicę stanowi może większy procent najemnych, bezpośrednio od króla zależnych, oddziałów.

Na pozór drobna, lecz przez całe 200 lat dla Anglii ważna zmiana zaszła podczas zdobycia Walii przez Edwarda I /w 1282 r./. Anglicy spotkali się tu z nową bronią, którą się mistrzowsko posługiwali ich przeciwnicy. Był to " długi łuk." Ten 6 stóp długości liczący kawał drzewa nie obronił Walijczyków, ale został przez Anglików przejęty i stał się ich ukochaną bronią. Dzięki swej znacznej sile przebijania umożliwiał on walkę z ciężką jazdą. Dzięki ciągłym ćwiczeniom łucznicy angielscy doszli do niesłychanego mistrzostwa w jego użyciu. Przeciętny łucznik był w stanie wypuścić 12 strzał na minutę, przy czym trafiał w człowieka na odległość 200 yardów /180 m./.

Wkrótce powstały " wolne kompanie " pieszych łuczników, złożone przeważnie z zamożniejszych wieśniaków, służących ochotniczo, ludzi wolnych, a nie poddanych i zwykle dowodzonych przez jakiegoś znakomitego rycerza. W ten sposób " długi łuk " stworzył zorganizowane oddziały piechoty, która odegrała rozstrzygającą rolę na polach bitwy wojny stuletniej. Ona to zwyciężyła świetne rycerstwo francuskie pod Crécy, a nie, użyte tam po raz pierwszy, nieliczne prymitywne działka, które oddały po parę strzałów bez żadnego wyniku.

Broń palna /działo/ pojawia się w Anglii w tym samym czasie co i w Polsce. Anglicy użyli jej po raz pierwszy w r. 1346, u nas wspomina o niej Statut Wiślicki w r. 1347, a pewna niezbyt zresztą wiarogodna kronika krzyżacka twierdzi, że parę działek posiadali Polacy nieco wcześniej.

Mówiąc o pierwszym, czternastowiecznym okresie wojny stuletniej, trzeba koniecznie wspomnieć o specyficznym sposobie działania wodza angielskiego Edwarda Czarnego Księcia. Działał on stale zaczepnie na szczeblu strategicznym, posuwając się szybko do rejonów, gdzie jego obecność była dla nieprzyjaciela szczególnie groźna, ale samą bitwę przyjmował zawsze w postawie obronnej, chcąc wykorzystać swą doskonałą piechotę. Na szczeblu taktycznym działał więc obronnie.

Krwawa wojna Białej i Czerwonej Róży, która się zaczęła zaraz po stuletniej, a zakończyła dopiero w r. 1485 bitwą pod Bosworth straszliwie wyczerpała siły wojskowe narodu angielskiego, które w tym czasie spadły może niżej, niż kiedykolwiek przez cały czas dziejów Anglii.

Dopiero długi, stuletni okres pomyślności gospodarczej i spokoju pozwolił na wytworzenie się warunków dla ponownego sformowania siły wojskowej.

W okresie Tudorów Anglia właściwie wojska stałego nie posiada prócz nielicznej gwardii królewskiej. Jej siły zbrojne stanowią wojska najemne, oraz powoływana w razie potrzeby milicja zamożnych włościan — *yeomanry,* wreszcie milicje feudalne możnych panów.

W tym samym czasie, a może dawniej jeszcze powstały arsenały przechowujące materiał artyleryjski i mające stały personel, od którego się wywodzi dzisiejsza artyleria angielska.

Obok tego od czasu królowej Elżbiety istniały tak zwane *City Train Bands*, oddziały zawsze gotowe, nie stanowiły one jednak wojska we właściwym znaczeniu tego słowa. Ciekawe, że we Francji wojsko stałe istniało już od połowy XV w. jako t.zw. kompanie ordynansowe /25.000 ludzi/, a w Polsce bardzo nieliczne wojsko stałe, kwarciane, powstało za Zygmunta Augusta.

Właściwie pierwszym stałym wojskiem angielskim była armia parlamentarna " Armia Nowego Wzoru " /*New Model Army*/, zorganizowana w r. 1645 przez Sir Tomasza Fairfaxa dla parlamentu w czasie jego walki z królem. Wojsko to składało się z piechoty i 11 pułków kawalerii /wśród nich tak znany i sławny w Anglii pułk " *Ironsides* "/ oraz artylerii.

Tą właśnie armią Oliver Cromwell wygrał wojnę domową i utrwalił władzę parlamentu, a właściwie swoją własną.

Armia " Nowego Wzoru " różniła się przede wszystkim od innych wojsk tego czasu żelazną dyscypliną, opartą na pierwiastkach religijnych. Była to armia protestancka prowadząca wojnę świętą. Wobec tego wszelkie przestępstwa i wykroczenia nabierały charakteru grzechu śmiertelnego i jak najściślejsze zasady moralności chrześcijańskiej były stosowane podczas kampanii. Nie było więc gwałtów, grabieży, pijaństwa. Zyskało to sympatie ludności cywilnej dla sprawy reprezentowanej przez nową armię, a z drugiej strony, wzmocniło jej spoistość i siłę wewnętrzną.

Jeśli chodzi o taktykę poszczególnych broni w tym czasie, to jedynie trzeba wspomnieć o tak-



Yeomani gwardii Henryka VIII.

tyce kawalerii, gdyż angielska piechota i artyleria działały tak samo jak na kontynencie. Nową taktykę kawalerii zainicjował nie wódz parlamentarny, tylko dowódca strony królewskiej, ks. Rupert. Rozporządzając dużą ilością dobrych jeźdźców na doskonałych koniach, zerwał z powszechnie wówczas stosowaną taktyką walki ogniowej z konia /*caracol*/, zastępując ją szarżą w pełnym cwale. W Polsce taktyka ta, stosowana już od początku XVI wieku była jedną z głównych przyczyn świetnych zwycięstw okresu wielkich hetmanów. Przejął ją Cromwell, będący przede wszystkim świetnym dowódcą kawalerii, stosował mistrzowsko, a górując nad przeciwnikiem dyscypliną swych oddziałów, odniósł świetne zwycięstwa .

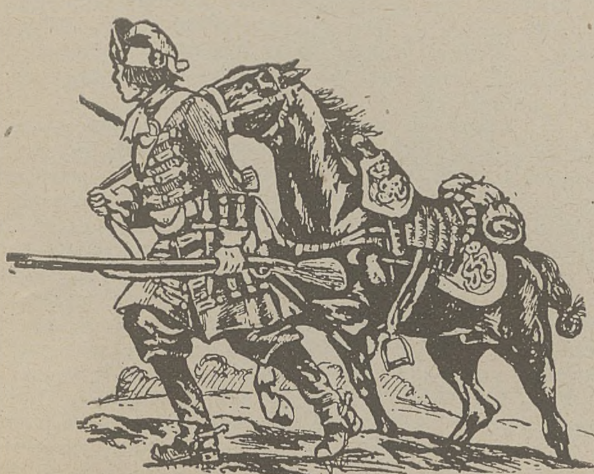
Zewnętrznie wojsko angielskie nie różniło się od innych wojsk zachodnio-europejskich: w piechocie ten sam podział na pikinerów i muszkieterów, uzbrojonych w broń lontową, w artylerii te same ciężkie i niezwrotne działa o zaprzęgach cywilnych, wynajętych.

W okresie Nowego Wojska wprowadzono zasadniczy kolor munduru—czerwony. Przetrwał on do dzisiejszego dnia w galowych ubiorach większej części armii brytyjskiej. Nie od rzeczy będzie zauważyć, że i w Polsce mundury wojska koronnego oraz gwardii były czerwone aż do reform Sejmu Wielkiego, tak więc, jeśli porównamy zewnętrzny wygląd piechura lub dragona angielskiego i polskiego choćby jeszcze z połowy XVIII wieku, to będą się one bardzo mało między sobą różniły: ten sam czerwony mundur sięgający do kolan, z wyłogami barwy pułkowej, trójkątny czarny kapelusz, białe spodnie i kamizelka.

WŁADYSŁAW DZIEWANOWSKI

Rysunki pochodzą z książki: Cecil C. P. Lawson. A History of the Uniforms of the British Army.

Dragon z końca siedemnastego wieku



Muszkieter z drugiej połowy XVI wieku



Internowani żołnierze polscy w dolinie Rodanu

Polska praca na obcej ziemi

II.*

Pułkownik szwajcarski J., komendant okręgu internowania "Rhone" z siedzibą w Aigle, z pełnym uznaniem mówi o pracy żołnierzy polskich, rozmieszczonych w obozach doliny Rodanu. Jest to starszy pan o sympatycznym wyrazie twarzy i ujmującej swobodzie zachowania się w czasie rozmowy, cechującej oficerów szwajcarskich z francuskiej części kraju. Mówi o rozmieszczeniu obozów oraz o rodzaju i charakterze ich pracy, często mówiąc, że są to prace wykonywane "*pour nous*," "*pour l'internement.*"

Czterdzieści minut drogi dzieli Aigle od najstarszego obozu rolniczego w dolinie Rodanu — Illarsaz. Aigle leży jeszcze w kantonie Vaud. Zaraz jednak za mostem na Rodanie zaczyna się kanton Valais /po niemiecku Wallis/, który w tym miejscu wciska się klinem między Rodan i granicę francuską. Niedaleko za rzeką znajduje się polski obóz.

Idąc drogą, po raz pierwszy obserwuję stare łożysko ujarzmionego Rodanu, który z szerokiej rzeki, zalewającej ongiś całą dolinę, skurczył się do szerokości kilkudziesięciu metrów. Łożysko to jest w tym miejscu szerokie, znajdujemy się bowiem w odległości około 8 km od ujścia Rodanu do jeziora Genewskiego. Właściwie mówiąc, jest to nie łożysko Rodanu, lecz dawne łożysko tego jeziora, które cofnęło się wraz ze zmniejszeniem dopływu wód Rodanu.

Po obu stronach szybkiego nurtu rzeki widać doskonałe tereny, które woda obejmowała kiedyś w swoje władanie. Od strony kantonu Vaud duże szmaty ziemi zostały już wykarczowane, prawdopodobnie nie tak dawno, gdyż spotkać jeszcze można ślady karczunku. Przemieniono je na pola uprawne, zasadzone jarzynami.

Minąwszy za mostem niewielką wioskę Illarsaz widzimy przed sobą obóz składający się z 14 baraków, przeniesionych ze sławnego miejsca internowania w Büren nad Aarą, gdzie w pierwszych miesiącach po przekroczeniu granicy Szwajcarzy skupić chcieli kilka tysięcy internowanych żołnierzy polskich i wybudowali w tym celu 150-barakowe miasto. Opodal leżą szeroko rozrzucone tereny pracy. Drugi brzeg Rodanu jest jeszcze niemal całkowicie dziki i obejmuje olbrzymie przestrzenie, zarośnięte drzewami i krzewami. Wyłaniają się już jednak duże połacie zoranej ziemi. To rezultat dotychczasowej pracy Polaków, zamieniających nieużytki na ziemię uprawną.

Na pierwszy rzut oka wydaje się, że cały ten teren to nieużyteczne zupełnie piachy i zadrzewione wydmy. Zdumienie ogarnia, że ręka ludzka chwyta się tych krzewów i tej ziemi. Czyż jest to potrzebne? Czy opłaci się trud tej kosztownej pracy?

A jednak jest to konieczne. Mimo całej swej zamożności Szwajcaria znalazła się z wybuchem wojny w trudnej i kłopotliwej sytuacji żywnościowej. Wojna, opasując neutralną Szwajcarię krajami, które znalazły się w konflikcie, ograniczyła poważnie możliwości dowozu z zagranicy wielu środków spożywczych i surowców niezbędnych dla przemysłu. Przed wojną, własną produkcją pokrywała zaledwie 1/3 ogólnego zapotrzebowania na zboże. Gros Szwajcarii, to góry, skały i pastwiska. Ziemia orna, zalegająca w dolinach, a przede wszystkim w głównym pasie nizinnym między Jurą i Alpami, mimo najbardziej intensywnej i świetnie postawionej produkcji, mimo prowadzonej od kilku lat przed wojną polityki premiowania szeregu upraw, nie wystarcza na wyżywienie własnymi siłami 4,5 milionowego narodu.

Bezpośrednio przed wojną, w r. 1939, Szwajcaria posiadała 180 tys. ha. ziemi ornej. Dla uzyskania samowystarczalności i zrównoważenia wojennych strat w imporcie obliczono, że powierzchnia ta musi się zwiększyć co najmniej do 500 tys. ha. Jest to zadanie olbrzymie, wymagające pracowitego wykorzystania wszystkich możliwych skrawków ziemi, nawet tych, które na pozór wydają się całkowicie nieużyteczne. Duszą tej pracy stał się dr. F. T. Wahlen, szef sekcji produkcji rolniczej szwajcarskiego wojennego urzędu wyżywienia, który na jesieni 1940 r. opracował odpowiedni plan gospodarczy i podjął jego realizację.

W ciągu roku 1940 i 1941 zdołano zwiększyć powierzchnię uprawną do 270 tys. ha, zużytkowując przede wszystkim w tym celu szereg łąk i pastwisk, co było rzeczą najłatwiejszą. Dalsza jednak zamiana pastwisk na ziemię orną grozi katastrofą w zakresie wyżywienia bydła, które również odcięte zostało od dowozu paszy, trzeba więc było z kolei jąć się pracy trudniejszej, sięgnąć do terenów leśnych i do dawnych łożysk rzek.

* * *

Z tym to właśnie programem, zwanym planem dr. Wahlena, wiąże się założenie obozów polskich w dolinie Rodanu, przeniesionych tu z północnej Szwajcarii. Internowani żołnierze polscy zostali skierowani do tych prac, aby dopomóc ludności szwajcarskiej w jej ciężkiej walce o byt. Zresztą walka ta stała się wspólną sprawą Szwajcarii i przebywających przymusowo na jej ziemi Polaków. Jednym z założeń pierwszych obozów w kantonie Valais było zdobycie własnymi siłami internowanych nowej ziemi, obrobienie jej i użycie plonów na rzecz obozów polskich. Dlatego też płk. J. tak mocno podkreślał, że są to prace "*pour nous*," "*pour l'internement.*"

Obóz w Illarsaz powstał właśnie jako pierwszy obóz tego typu. 17 listopada 1941 przybył do doliny Rodanu por. K. z grupą 60 żołnierzy kompanii Radio i grupa ta zaczęła karczować dawne łożysko jeziora Genewskiego. W kwietniu 1942 r. do obozu dołączyły przysłane tu oddziały por. O. i ppor. F., pracujące dotychczas w innych kantonach Szwajcarii, tak, że obóz rozrósł się do 238 ludzi. Por. K. jest polskim komendantem obozu, t.zw. "oficerem odpowiedzialnym," ppor. F. i O. — kierownikami grup, prowadzących roboty karczunkowe i drenarskie. Jest jeszcze w obozie czwarty polski oficer, ppor. G., sprawujący nadzór nad wewnętrzną administracją obozu i 2,5 ha. ogrodem obozowym.

Ogólny nadzór nad obozem z ramienia władz szwajcarskich sprawuje por. Ge., wraz z nieodłączną "Wachą," złożoną z kilkunastu szwajcarskich żołnierzy. Przy wejściu na teren obozu pierwszą osobą, która rzuca się w oczy, jest właśnie ta "Wacha" — żołnierz w charakterystycznym szwajcarskim hełmie, z bagnetem osadzonym na przewieszonym przez ramię karabinie.

* * *

Nie zastaję por. K., który w tym czasie wyjechał z mjr. Ch., polskim oficerem łącznikowym w Aigle, do obozu w Turtmann Illsee, spotykam jednak szereg znajomych wśród oficerów i żołnierzy, znanych mi z innych obozów tułaczki po Szwajcarii. Ppor. G., instruktor wychowania fizycznego z warszawskiego C.I.W.F., który kształcenie mięśni ludzkich zamienił teraz na doglądanie wyrastających z ziemi warzyw, oprowadza mnie po obozie.

Pięć ustawionych równiutko w szeregu baraków — to baraki mieszkalne. Gdy przechodzimy z jednego do drugiego, możemy niemal bez żadnego uszczerbku wysłuchać komunikatu radiowego; jest właśnie godzina audycji polskiej z Londynu i wszystkie aparaty /w każdym baraku jest radio/ są nastawione. Przy głośnikach pochyleni tylko nieliczni żołnierze, niezajęci w tym momencie pracą na polu, lub w budynkach administracyjnych. Słuchają pilnie, gdyż po powrocie z pracy koledzy będą ich pytać, co nowego.

Reszta baraków /jest ich 14/, to świetlica, biura, budynek "Wachy," kuchnia, baraki gospodarcze, kuźnia, magazyny i t.p.

Wchodzimy do magazynu, którym zarządza starszy ogniomistrz Z. Pilnuje i sprawdza topory, siekiery kanadyjskie, kilofy, łopaty drenarskie, szpadle, piły, jakby dbał o karabiny i sprzęt wojenny. Trzeba pilnować, gdyż jest tego roboczego sprzętu wartości około 16 tys. franków. Narzędzie uszkodzone reperuje własna kuźnia.

W jednym z mniejszych baraków znajduje się kuchnia obozowa, prowadzona we własnym, polskim zarządzie. Sprawujący obowiązki kucharza, saper Władysław Z., jest nieco zmieszany nieoczekiwaną wizytą. Podłoga kuchni jest mokra i brudna, a na środku leży gumowy wąż.

—Bo to, panie poruczniku — tłumaczy się zawstydzony — z tą wodą to nijak nie można dojść do ładu. Zacząłem myć podłogę i woda ustała.

Okazuje się, że motorek ciągnący wodę ze studni przegrzewa się często i całe urządzenie strajkuje ku zmartwieniu kucharzy. Saperowi Z. nie nowina wprawdzie obywać się bez wody. Mówi, że był ochotnikiem w 1918 r. w Polsce, później pracował w Niemczech, z Niemiec powędrował do Francji, zaciągnął się do Legii Cudzoziemskiej i 7 lat siedział we francuskim Marokku, wrócił znów do Francji w 1930 r. i pracował w kopalniach węgla. Bywało często bez wody, ale w kuchni to nie idzie . . .

Trudno — pocieszam go — wrócimy do Polski, to będzie lepiej.

—Pewnie, że wrócimy — podchwytuje Z.

—Nie zamierza pan już wracać do Francji?

—Nie, jadę do Polski. Pracowałem tyle dla Polski, byłem we Francji w strzelcach, teraz jestem saper, choć w Legii miałem st. sierżanta, ale niech już wrócę do kraju jako saper.

Nie pierwszy raz spotkałem się z podobnymi wynurzeniami żołnierzy, rekrutujących się spośród Polaków zamieszkujących przed wojną we Francji. Stanowili oni element większości w obu polskich dywizjach zorganizowanych na ziemi francuskiej i wprowadzonych do walki. Niekiedy dawali wyraz rozżaleniu, że pobrano ich do wojska, gdy w Polsce nie umiano im dać pracy. Powoli jednak wspólne przeżycia wojenne, zetknięcie z braćmi z kraju, załamanie się Francji, w którą święcie wierzyli oraz wiadomości o stosunku rządu w Vichy do cudzoziemców — poczęły zmieniać ich postawę. Wspólne internowanie tych Polaków z wychodźstwa i z macierzy stało się zaprawą życiową cementującą oba odłamy. Polacy z kraju przez to zetknięcie zobaczyli, że nie wszystko w Polsce było takie złe i odwrotnie — Polacy z Francji poczęli rozumieć kraj z którego wyemigrowali. Daj Boże, aby to rozbudzenie tęsknoty za krajem stało się pozytywnym czynnikiem internowania w Szwajcarii.

* * *

Po obejrzeniu baraków biurowych i składów udajemy się rowerami na miejsce pracy. Tych miejsc pracy jest właściwie kilka. Najdalej o jakiś kilometr do półtora od obozu, pracuje grupa 50 ludzi na rzecz firmy prywatnej "Kerzers" — *Schweizerische Gemüse Geselschaft.* Firma ta zakontraktowała z władzami szwajcarskimi pewien teren, który karczuje i uprawia na własny rachunek. Opłaca ona też internowanych Polaków, pracujących dla niej na zasadzie umowy z Komisariatem dla spraw internowania. Interes najwidoczniej kalkuluje się, tym bardziej, że Polakom płaci się znacznie niższe stawki od tych, jakie musiano by płacić robotnikowi szwajcarskiemu.

Jedziemy z kolei na tereny, gdzie praca prowadzona jest na rzecz internowania, do grupy karczujących ppor. F. Z daleka już na znacznej przestrzeni, widać porozrzucane ogniska. Niebieskawe słupki dymów wznoszą się ku niebu i odbijają wyraźnie na ciemnym tle gór, nad którymi, na dalszym planie, wznosi się majestatycznie szczyt *Dent du Midi.*

Ppor. G. objaśnia mnie na czym polega zasadnicza praca żołnierzy. Najpierw odbywa się karczowanie, a więc wydzieranie z ziemi drzew i krzewów, miejscami rzadkich, miejscami porosłych bardzo gęsto. Po karczunku następuje przygotowanie terenu pod drenowanie i wreszcie właściwy drenaż, polegający na budowie kolektorów i rowów, odprowadzających wodę do kanałów. Kopie się więc głębokie na 2 — 3 m rowy, biegnące ukośnie do większego rowu — kolektora. Kolektory biegną równolegle, jeden za drugim, i odprowadzają wodę do kanału, wpadającego do jeziora Genewskiego. W rowach układa się na deskach sączki o przekroju dziesięciu i w kolektorach — o przekroju 30 cm.

Po dokonaniu tej pracy teren zasypuje się. Zjawiają się pługi z traktorami. Po zoraniu i zbronowaniu ziemi, specjalne płużki drążą rowki, w które sadzi się kartofle. Na lepszej ziemi uprawia się kapustę i pomidory. We własnym ogrodzie warzywnym obozu, obejmującym przestrzeń około 2,5 ha. i położonym bezpośrednio przy barakach, zróżnicowanie warzyw jest większe. Na dalszych polach trudno uprawiać coś więcej poza kartoflami, kapustą i pomidorami.

Pan S., szwajcarski kierownik uprawy, przydzielony przez Komisariat w Bernie, którego spotykamy przy wejściu na teren karczunku, objaśnia mnie, że w Illarsaz żołnierze polscy wykarczowali już i przygotowali pod uprawę w drodze drenażu, lub niwelacji gruntu, około 100 ha; 12 ha zdążono zasadzić kartoflami i warzywami.

—Ładna praca!

—Tak jest. Pracują dobrze.

—A jak wielki teren pozostaje jeszcze do przepracowania?

Pan S. dobrze nie wie. Możliwości są duże. — Może być około 2,000 ha.

—Oh! Nasi żołnierze nie zdążą już chyba tego zrobić; wcześniej otworzą się możliwości wyjazdu ze Szwajcarii.

Kto to wie. Upłynęły już dwa lata internowania w Szwajcarii; na początku nikt nie przypuszczał, że będzie tu siedział przez te dwa długie lata . . . Żołnierze zatrudnieni przy karczunku dopytują się oczywiście o nowiny wojenne.

—Przykrzy się?

—Pewnie, że się przykrzy, ale co robić.

Bombardier L., rodem z Zakopanego, świeci w słońcu potężnym, muskularnym, spalonym na bronz torsem. Jasnymi oczyma ogarnia wysokie góry otaczające dolinę, niestety nie polskie Tatry. Jest optymistą. Ma wiadomości od rodziny z Zakopanego; na szczęście niezłe.

Ale nie wszyscy mają dobre nowiny. Są i wiadomości bardzo złe, przykre. Malują się one w oczach i na twarzach, skupionych w sobie i zamkniętych. Pracować i nie myśleć!

—Co zarabiacie?

Różnie, zależnie od sił i zdolności. Jedni pracują na dniówkę i mają 3 franki dziennie, niektórzy w akordzie wyrabiają przy karczunku do 6 fr., a przy drenażu do 8 fr. Ale trzeba się porządnie napracować. Przy akordzie pracują w grupach po 3 — 5. Jeden drugiego pilnuje. Dzień pracy 10 godz., od 7 do 12 i od 13 do 18-tej.

Przy drenażu praca jest cięższa. Woda, mokro. Pracują w kilku grupach. Paru kosi trawę, inni kopią rowy, przycinają i zbijają deski pod sączki, układają je w rowach. W grupie stolarzy spotykam znajomego. Jest nim sierż. Edward W., b. naczelnik urzędu skarbowego w Warszawie. W obozie, poza oficerami, przebywa 5 inteligentów / podoficerów i szeregowych/, którzy nie dostali się do obozów uniwersyteckich. Podch. inż. D., zajęty przy pomiarach, dwóch inżynierów w administracji obozu, skarbowiec przy drenażu, magister prawa przy karczunku.

—Dlaczego pracują fizycznie? Muszą?

—Nie, nie muszą, ale będąc w obozie wolą pracować fizycznie. Są zadowoleni z tej pracy.

Na ogół niewielu już żołnierzy — inteligentów znajduje się w obozach pracy. Prawie wszyscy, którzy posiadali po temu warunki, przeniesieni zostali do obozów szkolnych. Ci, którzy do obozów tych nie dostali się, jak wspomniani moi rozmówcy, bądź też z obozów uniwersyteckich zostali wycofani dyscyplinarnie — w wielu wypadkach przekładają pracę fizyczną nad zajęcia w administracji.

Wróćmy jednak do żołnierzy — nieinteligentów. Podchodzę do grupy żołnierzy koszących trawę na terenie drenowanym. Część odpoczywa, popijając z butelek wodę. Chcę zrobić zdjęcie fotograficzne.

—Nie, niech pan poczeka, nie przy odpoczynku. Pomyślą jeszcze, że my tu nic nie robimy, tylko leżymy w trawie. Chłopcy, brać się za kosy — woła jeden.

Na ogół wszędzie spotykałem się z tą samą postawą. Żołnierze nie lubili fotografowania ich w czasie odpoczynku i bez narzędzi pracy.

W głębokim rowie pracują strzelcy, Stanisław J. i Jan R. Stoją w wodzie i układają dreny na desce. Obaj pracowali przed wojną kilkanaście lat we Francji. Podnoszą głowy ubrane w bronzowe, mocno już spłowiałe od słońca berety z lśniącymi orzełkami. Pytają kiedy skończy się wojna, co będzie po wojnie? . . .

—Skończy się na pewno. Już bliżej końca niż początku. A pracy w nowej Polsce będzie huk. Co Panowie zamierzają robić po wojnie?

—Wracamy do Polski. Już dość tej pracy u "katanów."

—Czy mają Panowie oszczędności z zarobionych pieniędzy?

—Eh! Jakie tam oszczędności. Robota mokra, katar, przykrzy się. Trzeba coś od czasu do czasu po takiej robocie wypić, coś dokupić do zjedzenia, bo jedzenie marne — to i z zarobku nic nie ma.

—Nie dziwię się.

—Szczęść Boże. Do zobaczenia w Polsce. Raczej wcześniej jeszcze, w innych warunkach.

* * *

Jeden duży barak w obozie zarezerwowany jest na świetlicę. Na ścianach wydane przez Komitet Kult. Oświatowy portrety prezydenta Wł. Raczkiewicza, gen. Wł. Sikorskiego, godło państwa, herby miast polskich, obrazki z Polski . . . Na ścianie poprzecznej przysłonięty kotarą ołtarz. Co niedziela Mszę św. odprawia ksiądz szwajcarski z St. Maurice; przychodzi 3/4 stanu.

Na drugim krańcu sali, za drewnianym przepierzeniem, kantyna. Przez okienko dostać można kawę, herbatę, lemoniadę, coś do zjedzenia, papierosy, słowem wszystko czym zwykle rozporządza kantyna żołnierska w trudnych czasach wojennych ograniczeń w spożyciu. Alkoholu nie ma. Kantyna jest prowadzona przez "*Département Social Romand*" /odpowiednik "*Schweizer Verband Volksdienst*" /organizujący i prowadzący kantyny żołnierskie na terenie Szwajcarii francuskiej. Jest to specjalne towarzystwo społeczne, utworzone przez szwajcarską YMCĘ i Biały Krzyż.

—Czy mogę dostać lemoniadę? — zwracam się do kobiety, zmywającej szklanki za okienkiem.

—A jaką pan sobie życzy? — odpowiada mi głos poprawną polszczyzną.

—Pani jest Polką?

Okazuje się, że kantynę prowadzi pani C., żona adwokata z Górnego Śląska, jedna z tych wielu tysięcy wychodźców wojennych, rozrzuconych dziś po całym świecie. Trafiła szczęśliwym zbiegiem okoliczności do obozu w Illarsaz i pracuje dla żołnierzy polskich.

Zjawia się szwajcarski komendant obozu por. Ge. i wypytuje o wrażenia.

—Jestem szczerze wdzięczny za umożliwienie mi zwiedzenia obozu i zapoznania się z jego pracą. Teraz lepiej czuję co to jest plan dr. Wahlena.

—O — ożywia się por. Ge. — dr. Wahlen złożył nam tu wizytę i był bardzo zadowolony z pracy. Wie pan — mówi mi — myślałem że jest to człowiek krzepki, postawny, o aparycji fizycznej odpowiadającej wyobrażeniu, jakie ludzie mają o nim, śledząc rozwój gigantycznego dzieła, którego realizację podjął. Tymczasem poznałem człowieka małego wzrostu, chudego, w profesorskich okularach. Nikt by się nie spodziewał, że w tym człowieku żyje tak ogromna siła woli.

—Tak — mówię — są dwie drogi powiększania Ojczyzny, zdobywania dla niej "przestrzeni życiowej": podbój i praca. W małej Szwajcarii, w tak trudnych warunkach geograficzno-terenowych, tę "przestrzeń życiową" zdobywa się przez ciężką pracę, przez wydzieranie naturze każdego możliwego skrawka ziemi, aby człowiekowi zapewnić możność pokojowego życia i rozwoju. Duszą tej pracy jest dziś w Szwajcarii dr. Wahlen, a nasi internowani żołnierze są jego współpracownikami.

JAN JANUSZ

* Por. część pierwszą: "Gdzie woda zamieniła się w wino." druk.w nr. 29 "Polski Walczącej" z b.r.

Myśliwcy polscy strącili 5 Niemców

W Anglii, lipiec.

Lotnisko, na którym stacjonują polskie dywizjony zalane jest słońcem. Czasami wiatr przegania po niebie chmurę i wówczas po ziemi wędruje miękki, duży cień. Na chwilę muska płaty stojących maszyn, prześlizguje się po betonie wybiegu i znika gdzieś w otwartych drzwiach hangaru. Duży rękaw, tłusta, ociężała kiszka powiewa na dachu budynku, wskazując kierunek wiatru.

Na lotnisku spokój i syta dojrzałość lipcowego popołudnia, wszystko znamionuje spokój i odpoczynek, zasłużony odpoczynek po trudach dobrze spełnionego zadania. Przed paru godzinami dywizjon im. T. Kościuszki i Dywizjon Warszawski powróciły z wyprawy nad Francję, wróciły z walki, która była nowym triumfem naszego lotnictwa. Lotnicy odpoczywają. Odpoczywają również i maszyny. Im także należy się chwila wytchnienia, jakże zasłużonego.

W budynkach lotniska, w przestronnej, gustownie urządzonej "mesie" i zacisznych "sitting-roomach" niewiele jest bohaterów dzisiejszego dnia. Większość z nich, korzystając z wolnego czasu, pojechała do miasta, ażeby się trochę rozerwać. Znajdujemy jednak paru uczestników wyprawy i od nich, na gorąco, wydobywamy garść szczegółów, strzępy cennych, bezpośrednich wrażeń, wyniesionych z walki.

JAK TO BYŁO . . .

Pierwszą osobą jest mjr. G., popularnie przez Anglików zwany "*Gabby.*" On dowodził polskim skrzydłem, które walczyło dziś przed południem z Niemcami, on prowadził polskie myśliwce przeciwko czarnym krzyżem znaczonym samolotom "Luftwaffe." Jest to wysoki blondyn, barczysty, o uprzejmym uśmiechu i spokojnych, przyjaznych oczach. Na piersi wstążeczki "Virtuti Militari," "Krzyża Walecznych" z okuciami, brytyjskiego D.F.C. i francuskiego "Croix de Guerre."

—Wyruszyliśmy gdzieś około 9-ej — mówi mjr. G. — całym skrzydłem. Już wkrótce przekroczyliśmy brzegi Francji i zaczęliśmy się windować na większą wysokość. Pogoda była dobra, w powietrzu panował spokój i nic nie wróżyło, że dzień ten przyniesie tak liczny "score" zestrzelonych samolotów.

Nad jednym z miast francuskich, już dość daleko od brzegu zauważyliśmy samoloty niemieckie nieco pod nami. Ale do walki nie doszło i Niemcy zginęli w chmurach. Los był jednak dla nas łaskawy, bo wkrótce potem znowu zauważyliśmy Niemców. Może to byli ci sami, może inni, zresztą, początkowo w ogóle nie byliśmy pewni, czy to swoi czy nieprzyjaciel. Dopiero, gdy zbliżyliśmy się okazało się, że to Niemcy. Wywiązała się krótka walka, i — uśmiech rozjaśnia twarz majora — poszło nienajgorzej. Trzy samoloty niemieckie zostały strącone i nikt z naszych nie ucierpiał.

Jeden z oficerów obecnych przy rozmowie wtrąca:

—Dwa z nich zestrzelił sam major.

Major G. uśmiecha się znowu, ale przeczy.

—Nie — mówi potrząsając głową — nie jestem tego pewien. Strzelałem do nich, ale w pewnym momencie, zbyt raptownie dodałem gazu, krew uderzyła mi do głowy i zamroczyło mnie. Skutków mojej serii nie widziałem. Dlatego też, te dwa pójdą na rachunek całego skrzydła.

Dowiadujemy się tak mimochodem, że mjr. G. ma już poza tym kilku Niemców na rozkładzie. Jednego jeszcze w Polsce, jednego we Francji a w Wielkiej Brytanii 6 i pół. To "pół" zalicza się wtedy, kiedy dwaj piloci "zrobią" razem jedną maszynę.

—Kiedy wracaliśmy — ciągnie dowódca polskiego skrzydła — już nad Kanałem, podeszły do nas "Focke Wulfy." I tym razem walka trwała krótko. Niemcom paskudnie się wiodło. Dwa "Focke Wulfy" poszły do morza, a jeden porządnie oberwał i zniknął w chmurach. Lądowaliśmy już na ostatnich kroplach benzyny.

WALKA NAD KANAŁEM

Drugi z kolei uczestnik wyprawy, młody, szczupły blondyn, por. Sz. zestrzelił dziś swego drugiego Niemca.

—Kiedy byliśmy koło tego miasta — opowiada — co to pan wie, a którego nazwy napisać nie można, siedzieliśmy na jakichś 25 tysięcy stóp nad ziemią. Nagle pokazały się pod nami samoloty niemieckie. Moja czwórka, którą dowodziłem, była skrzydłowa i pierwsza poszła do ataku. Wybrałem sobie już jednego, kiedy oto, tuż przede mną wyskoczył jeden z kolegów i przygrzał Niemcowi tak, że ten zadymił i poszedł do ziemi. Obejrzałem się więc za innym i znowu pikuję do niego, ale znowu któryś z kochanych koleżków, tuż przed nosem, zabrał mi zdobycz. Niemiec otrzymał serię bardzo ciężką, ale jakoś nie dymił, tylko szedł ostrą piką do ziemi.

Pognałem więc za nim, aby go przypilnować i w razie czego dołożyć mu coś od siebie. Po pewnym czasie zobaczyłem, że to niepotrzebna strata czasu, bo "Messerschmitt" ma dosyć. Kiedy się zorientowałem byłem już nisko nad ziemią, a w górze, o kilkanaście tysięcy stóp nade mną zbierały się nasze dywizjony w drogę powrotną. Zacząłem więc windować się w górę i gdyśmy już przekraczali brzegi francuskie, nagle ostrzelała nas artyleria przeciwlotnicza. Ogień był jednak nie bardzo celny, choć gęsty i gwałtowny.

Kiedy już prawie dołączałem do swoich, z boku znalazły się trzy "Focke Wulfy." Niżej i przede mną. Jeden z nich po chwili zniknął mi z oczu a dwa leciały gęsiego jeden za drugim. Zaatakowałem pierwszego w szyku, licząc się z tym, że drugi dobierze mi się do skóry. No, jakoś się powiodło.

Pierwsza seria była niecelna, bo zdaje mi się, że źle obliczyłem poprawkę, wobec tego, w skręcie, który wykonaliśmy prawie jednocześnie, wszedłem mu na ogon i z odległości kilkudziesięciu metrów dałem serię z działek i karabinów maszynowych. Widziałem ogniki wybuchające raz na prawym raz na lewym skrzydle, to znów wzdłuż kadłuba, ale Niemiec się jakoś nie palił, tylko poszedł jak kamień w dół i runął do wody.

Straciłem zupełnie rachubę czasu i kiedy obejrzałem się po walce, drugi "Focke Wulf" gonił mnie zawzięcie. Ale tego drugiego dostał jeden z moich kolegów i to tak szybko, że nawet nie zdążyłem oderwać się od Niemca, gdy Niemiec już "oderwał się" i rąbnął w Kanał. Siadałem na lotnisku prawie bez benzyny, ale wszystko poszło O.K.

Trzeci z uczestników to por. M., zwany popularnie "Longinem." Nie udało mu się zestrzelić żadnego Niemca, ale i tak miał dzień pełen emocyj, bo pierwszy raz w życiu dowodził w powietrzu dywizjonem i to tym sławnym, jednym z najsławniejszych. Por. M. stary i świetny lotnik, instruktor z Dęblina, "jeszcze z Polski," biada, że leciało mu się nieświetnie, bo miał uszkodzone radio, wskutek czego wynikły poważne trudności w komunikowaniu się z innymi pilotami i z ziemią. No, ale poszło jakoś i dywizjon był prowadzony pierwszorzędnie, czego najlepszym dowodem jest rezultat.

—A poza tym jeszcze nawalało mi podwozie — mówi por. M. — i musiałem cały czas jedną ręką trzymać dźwignię, ażeby mi się nie wysunęło w powietrzu, bo wówczas mój "Spitfire" straciłby na szybkości.

* * *

Słońce już zupełnie z ukosa patrzy na ziemię, cienie się wydłużają, a wiatr, jak to zazwyczaj bywa o zachodzie— cichnie. Rękaw na hangarze zwisa bezwładnie, z głośnika słychać jakąś melodię, która miękko wypełnia wnętrze "*sitting-roomu.*"

Trzeba już iść, ale przedtem jeszcze ostateczny "score," rezultat dnia. Jeden samolot strącił sierż. Kw. a dwa pozostałe idą, zgodnie z wolą dowódcy wyprawy, na rachunek całego skrzydła. To było tam, w głębi lądu, nad jednym z miast francuskich. A nad Kanałem — jeden zestrzelił por. Sz., drugi padł ofiarą por. Kol., trzeci zaś, ten uszkodzony, który zapewne nie dociągnął do bazy i rąbnął gdzieś o ziemię został "zrobiony" przez por. S. Razem pięć zestrzelonych, jeden "*damaged,*" na ogólną ilość 8 samolotów strąconych dnia 6 lipca b.r. przez lotnictwo alianckie na Zachodzie.

Bez strat własnych. Ani jednego uszkodzenia, ani jednej dziury w kadłubie czy na płatach. Rezultat mówi sam za siebie.

WIKTOR ROŻNIECKI

Dnia 31 lipca 1943 r. o godz. 9.30 w Kościele Garnizonowym przy 43, Palace Street /boczna Buckingham Palace Road/ odbędzie się nabożeństwo żałobne za duszę

ś.p. płk. pil.

BOLESŁAWA STACHONIA

poległego na polu chwały w lipcu 1941 r. o czym zawiadamia kolegów i znajomych

Żona i Syn.

Combined Operations

"*Combined Operations*"* — oficjalna historia operacji połączonych, od pierwszego wypadu komandosów w lecie 1940 do inwazji północnej Afryki, ukazała się od razu w nakładzie miliona dwustu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy. Wydawcy są ludźmi przewidującymi i wiedzą, że książka ta rozejdzie się szybciej i bardziej powszechnie, niż jakakolwiek inna.

Wyprawy "komandosów" od początku pasjonowały szeroki ogół. Dziś, gdy zaczyna się największa operacja połączona wszystkich czasów: inwazja Europy, tym bardziej każdy będzie chciał poznać tajniki przygotowawczych operacji. Jeśli zaś książka jest interesująca dla szerokiego ogółu, to wręcz pasjonująca jest dla żołnierzy. Opisany jest tu przecież rodzaj działań, mający stać się udziałem wielkich armii sojuszniczych, które wyruszą, by uwolnić Europę.

Jest rzeczą oczywistą, że dopóki trwa wojna nie wszystko może być opowiedziane. Nie można nieprzyjacielowi ułatwiać zadania, ujawniając zbyt wiele szczegółów o metodach walki w operacjach połączonych. Niemniej książka podaje wiele szczegółów do tej pory nieznanych. Były operacje, o których w ogóle nie ukazały się żadne komunikaty. Były inne, jak n.p. pamiętna wyprawa na St. Nazaire, kiedy to dopiero po dłuższym czasie, a mianowicie po powrocie do W. Brytanii kilku uczestników, którzy — pozostawieni na wybrzeżu — zdołali uciec Niemcom i przedostać się na Wyspy, ujawnione zostały najważniejsze fakty. I czytając tę książkę trudno opędzić się refleksji: jaką to dopiero pasjonującą lekturą będą relacje o działaniach w podziemnej Europie, o których dziś w ogóle jeszcze pisać nie można!

Operacje połączone nie są niczym nowym w historii W. Brytanii. Jakże zresztą mogłyby być nowością dla mocarstwa, którego potęga opiera się na panowaniu na morzu? Dzisiejsze operacje połączone wywodzą się w prostej linii od wypraw Drake'a, czy Essexa w XVI-ym wieku. Choć brytyjskie koncepcje wojenne musiały zawsze opierać się na działaniach amfibijnych t.j. lądowo-morskich, choć jeszcze przed poprzednią wojną jeden z brytyjskich mężów stanu nazwał armię "pociskiem, który wystrzeli flota we właściwym miejscu" — to jednak na początku wojny nic nie było przygotowane do operacji połączonych. Założeniem planów wojennych było istnienie frontu lądowego, na który armia brytyjska zostałaby przewieziona pod osłoną floty. Operacyj desantowych nie przewidywano. I gdy po upadku Francji W. Brytania musiała sobie powiedzieć, że prędzej czy później jej wojska będą musiały lądować z morza na wrogich wybrzeżach, stworzenie instrumentu dla takich operacji stało się koniecznością.

Trzeba przyznać, że nie tracono czasu. Pierwszy wypad na wybrzeże francuskie nastąpił już w kilka dni po upadku Francji: 23 — 24 czerwca. Oczywiście była to mała operacja: 120 ludzi, 8 łodzi motorowych, zadania czysto patrolowe. Nie wszyscy nawet zdołali wylądować. Strat nie było, ale poza dwoma wartownikami niemieckimi, których zabito, niczego też nie osiągnięto. Jednej z wracających łodzi nie chciano wpuścić do portu, bo nikt nie wiedział . . . "z kim ma przyjemność." Komandosi pozostali więc w łodzi, gdzie odkryli większą ilość rumu i /z rozpaczy oczywiście/ upili się. Gdy w końcu wypuszczono ich na brzeg, aresztowała ich żandarmeria, biorąc za dezerterów . . .

Od tych skromnych początków długa wydaje się droga do wielkiego desantu w Afryce północnej z udziałem kilkuset statków i setek tysięcy ludzi. Ale została przebyta. I w tym czasie stworzony został instrument, który w inwazji Europy odegra rolę bardzo wielką.

Przeprowadzone dotychczas operacje połączone można podzielić na kilka rodzajów. Jedną z nich, może najbardziej przemawiającą do wyobraźni, są wypady dywersyjno sabotażowe, obliczone na przeprowadzenie określonych zniszczeń i następnie załadowanie się z powrotem. W "*Combined Operations*" znajdujemy opisy szeregu takich wypraw. Jednej z ostatnich do tej pory w ogóle nie ujawniono, choć została uwieńczona pełnym powodzeniem: mowa jest o wypadzie komandosów, którzy w nocy z 23 na 24 stycznia 1943 wylądowali na wysepce Stord i zniszczyli kopalnię pirytu, produkującą rocznie 160.000 ton tego cennego surowca, jak również dokonali innych zniszczeń, tracąc tylko jednego człowieka.

Ze wszystkich operacji połączonych niewątpliwie najbardziej imponującą, a zarazem najbardziej udaną był wypad na St. Nazaire. Nie sposób omawiać tu wyczerpująco tego wyczynu, ale warto podkreślić fantastyczną wprost dokładność wykonania planu, wyrażającą się w fakcie, że kontrtorpedowiec "Campbeltown" po odbyciu długiej i ryzykownej podróży i przedefilowaniu pod ogniem baterii nieprzyjacielskich miał o godz. 1 w nocy uderzyć w śluzę doku *Forme Ecluse* i spóźnił się tylko o 4 minuty.

Wypad na St. Nazaire był pod każdym względem trudny. Straty były pokaźne, zarówno w lekkich jednostkach floty, które brały udział, jak i w ludziach. Załadowanie wysadzonych na ląd komandosów nie było możliwe i niemal wszyscy spośród tych, którzy nie zginęli, dostali się do niewoli. Trzech zdołało jednak uciec okrężnymi drogami i dopiero na podstawie ich relacji można było zrekonstruować sensacyjne wydarzenia, które nastąpiły po odpłynięciu sił morskich.

W swoim czasie sądzono, że potężna eksplozja, którą słyszano w nocy w chwili odpływania, spowodowana była przez wylecenie w powietrze "Campbeltown'a." W rzeczywistości kontrtorpedowiec ten wyleciał w powietrze dopiero nazajutrz, między 11 a 12 w południe. Wybrał sobie na to bardzo odpowiedni moment, a mianowicie chwilę inspekcji przeprowadzanej przez 40 wyższych oficerów niemieckich, a prawdopodobnie wśród nich dowódcy tego rejonu. Co więcej, wraz z nimi zginęło jeszcze wielu innych Niemców, przypatrujących się okrętowi z wybrzeża. Ogółem blisko 400 Niemców zapłaciło życiem za swą ciekawość. Jeszcze w dwa dni później po obu stronach śluzy pełno było oderwanych nóg, rąk i głów.

Nie koniec na tym. Ten wybuch był raczej początkiem najbardziej dramatycznych wydarzeń.

W dwa dni później, o godz. 16.30 nowy potężny wybuch wstrząsnął portem i każdy kto się tam znajdował, biegł ku śluzie dowiedzieć się co się stało. Wybuch spowodowany był przez torpedę z opóźnionym zapalnikiem, która wybuchła po upływie 60 godzin.

W godzinę później wybuchła druga torpeda. Teraz kto żył, usiłował wydostać się przez prowadzący do miasta most. Niemieccy wartownicy otworzyli ogień, co stało się sygnałem do powszechnej strzelaniny, w której 280 robotników francuskich straciło życie. Straty niemieckie były jeszcze większe, gdyż w porcie pracowała duża liczba niemieckich robotników organizacji Todta. Nosili oni mundury khaki, które wzięto za mundury brytyjskie. Gdy opuszczali pracę, wojsko niemieckie otworzyło do nich ogień z kaemów.

Po zapadnięciu nocy Niemcy długo jeszcze strzelali nawzajem do siebie. W ogóle żołnierze niemieccy, straciwszy niemal wszystkich swych dowódców na pokładzie kontrtorpedowca "Campbeltown" biegali bez głowy i wszędzie widzieli wroga. Ogółem oblicza się, że w rezultacie 300 do 400 robotników i żołnierzy niemieckich zginęło, nie licząc tamtych 400.

Straty brytyjskie niewątpliwie nie były małe. W marynarce na 62 oficerów i 291 marynarzy, zabitych lub zaginionych było 34 oficerów i 151 marynarzy. Jeśli chodzi o komandosów, spośród 44 oficerów i 224 szeregowych trzeba było pozostawić na lądzie 34 oficerów i 151 szeregowych. Niektórzy polegli, większość dostała się do niewoli. W stosunku do osiągniętych rezultatów straty te nie były jednak duże.

Czy można powiedzieć to samo o wyprawie na Dieppe? Trudno jest ocenić i wymierzyć korzyści, wynikające z nabytego w tej pamiętnej wyprawie doświadczenia. Nie ulega wątpliwości, że nauczono się wiele i że w przyszłej inwazji Europy te doświadczenia przydadzą się bardzo. A czy zapłacono za nie zbyt wysoką cenę — jest oczywiście rzeczą względną.

Do naszej wiedzy o wyprawie na Dieppe "*Combined Operations*" nie dodaje wiele nowego, aczkolwiek przynosi bardzo pełny obraz tej operacji. Jak teraz widzimy bardzo wiele, jeśli nie wszystko zależało od tego, czy dwie baterie nadbrzeżne zostaną na czas obezwładnione i zmuszone do milczenia. Bez tego bowiem jednostki floty i barki desantowe narażone były na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

Zadanie to powierzone zostało komandosom. Sukces był niezupełny. Jedna bateria została zniszczona całkowicie, druga natomiast wyszła obronną ręką i jedynie przeszkodzono jej czasowo w precyzyjnym strzelaniu. Każdemu czytelnikowi narzuca się pytanie, dlaczego zadania tego nie powierzono przede wszystkim lotnictwu i spadochroniarzom, którzy nie musieliby lądować na plaży pod ogniem. Odpowiedzi na to książka nie daje, jako że ma charakter wyłącznie opisowy, a nie rozważający. Bez większego ryzyka można jednak chyba wyciągnąć wniosek, że w tej szczególnie dziedzinie lekcja nie poszła na marne.

Zamyka się książkę "*Combined Operations*" z głębokim przeświadczeniem, że współpraca trzech broni poczyniła ogromne postępy. Hasłem dowództwa operacji połączonych jest "*United we conquer*" — "Zjednoczeni zwyciężamy." Hasło to właściwie streszcza naczelną zasadę prowadzenia wojny i sojusznicy powinni je wypisać na swym sztandarze, zarówno w dziedzinie wojskowej, jak i politycznej. W operacjach połączonych w każdym razie zrobiono wiele, aby je wprowadzić w życie. I to właśnie rokuje najlepsze wyniki przygotowywanej inwazji Europy.

ALEKSANDER BORAY

---

* Combined Operations, 1940 — 1942. London. His Majesty's Stationary Office.

Zbiórka książek

Urząd Oświaty i Spraw Szkolnych w Londynie. Powołując się na inicjatywę "Polski Walczącej," przesyłam, jako dar b. Ośrodka Opieki nad Rodzinami Wojskowych w Perth, Szkocja — dla Polaków z Rosji /w szczególności dla kobiet i dzieci polskich przebywających w Afryce bądź też w Indiach/ następujące książki:

Sienkiewicz "Ogniem i mieczem" 4 tomy; Reymont "Chłopi" 4 tomy; E. Curie "Maria Curie" 2 egz.; Kisielewski "Ziemia gromadzi prochy" 2 egz.; Żeromski "Wierna rzeka"; Żeromski "Wiatr od morza"; Dynowska "Polska w zwyczaju i obyczaju"; Wyspiański "Wesele"; Prus "Placówka"; Piłsudski "O Polsce i wojnie"; X. Bełch "Papiestwo i Polska"; "Kraj lat dziecinnych"; Kuncewiczowa "Klucze"; Fiedler "Dywizjon 303"; Nowakowski "Przylądek dobrej nadziei" 2 egz.; Fiedler "Kanada pachnąca żywicą"; Fiedler "Ryby śpiewają w Ukajali" 2 egz.; Zaleska "Wieczna warta"; Żeromski "Andrzej Radek"; Gąsiorowski "Księżna Łowicka"; Ossendowski "Trębacz cesarski"; Pruszyński "Droga wiodła przez Narvik"; Leitgeber "Londyn oblicze i maska"; Wyszyński "Nauka angielskiego" i t.d. — razem 47 tomów.

Z wysokim poważaniem

Maria P. /Edynburg/

* * *

p. Ludwik Bojczuk ofiaruje: Zygmunt Nowakowski: "Rubikon." X. Waleryan Adamski: "Polski śpiewnik narodowy." Henryk Sienkiewicz: "Ta trzecia." Stefan Żeromski: "O żołnierzu tułaczu." "Antologia poezji współczesnej." Zygmunt Bohusz-Szyszko: "Wrześniowym szlakiem." Arkady Fiedler: "Dywizjon 303."

Pomoc dla Polaków w Rosji: £9,378

W załączeniu przesyłamy P.O. na sumę £1.1.0, zamiast kwiatów na trumnę Gen. Władysława Sikorskiego, którą to sumę przeznaczamy na pomoc dzieciom polskim ewakuowanym z Rosji, na Bliskim Wschodzie.

Z poważaniem,
za Zarząd Główny,
sekretarz
Zrzeszenia Studentów Polaków w Wielkiej Brytanii

* * *

Bezimiennie sh.6 jako datek na pomoc zesłańcom w Rosji.

* * *

Zamiast podziękowań za życzenia przesłane z okazji święta 24 p.ul. załączam Money Order na kwotę £1.0.0 na pomoc dla Polaków w Rosji.

Dca 24 p.uł.

* * *

Przesyłam sh.30 — dla dzieci polskich w Rosji. *M.P.*

* * *

p. Mieczysław P. na pomoc Polakom w Rosji £1.0.0 /słownie: jeden funt/.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £4.17.0 /słownie funtów cztery, szylingów siedemnaście/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £9,378.7.0 /słownie: dziewięć tysięcy trzysta siedemdziesiąt osiem funtów, siedem szylingów/ 28 dolarów kanadyjskich, 108 pesetów hiszpańskich, 5½ dolarów amerykańskich i 15 czerwieńców.

Na jeńców polskich w Niemczech

Redakcja "Polski Walczącej,"

W czasie wystawy propagandowej p.t. "Poland before September 1939" urządzonej przez . . . Kompanię Saperów w miejscu postoju D-twa . . . Dywizji Grenadierów zebrano na Czerwony Krzyż kwotę £10.sh.8 d.6. Z powyższej kwoty przekazano na Brytyjski Czerwony Krzyż kwotę £5 sh.4 d.3 zaś dalszą część t.j. £5 sh.4 d.3 przekazuje Kompania Saperów celem wysłania odpowiedniej ilości paczek żywnościowych Polskim Jeńcom Wojennym w obozach niemieckich.

Na ten sam cel złożyła bezimiennie Szkotka kwotę sh.10, sierż. Pr. wygrany zakład od podch. St. kwotę sh. 10., sierż. Kl. kwotę sh.4.

Razem przekazuję na Pomoc Jeńcom Polskim w obozach niemieckich kwotę £6 sh.8 d.3 /słownie: sześć funtów, osiem szyl., trzy pensy/.

pchor. Jan. B.
wz. Oficer Oświatowy

* * *

Dear Sir,

Please accept the enclosed £6.0.0 obtained from entertainments, for the Polish Prisoners of War Fund.

Yours faithfully,
Mrs. Phyllis Bates

* * *

Przesyłam sh.10 d.4 zebrane przez uczni . . . Kursu S.P.P. i Kaw. Zmot. podczas meczu piłki nożnej — na pomoc Polakom w niewoli niemieckiej.

Oficer Oświatowy
S.P.P.

* * *

Przesyłam na ręce Wpanów przekaz pieniężny na wpłaconą przez redakcję b. czasopisma transportu Wojska Polskiego na "Ile de France" p.t. "Nowa Eskadra" sumę £1.12.0 /słownie jeden funt, dwanaście szyl./.

Suma ta jest wpłacona jako ofiara na jeńców wojennych Polaków.

Z poważaniem
Kolesiński

* * *

Przy niniejszym przesyłam sh.6 d.2 /słownie sześć szyl., dwa pensy/ jako pozostałość na rachunku ppor. K.S. i ppor. R.A. z przeznaczeniem na jeńców w Niemczech.

Z poważaniem
ppor. St. L.

* * *

Kurs Instruktorek P.S.L.K. załącza przy niniejszym kwotę £6.9.0 /sześć funtów, szylingów dziewięć/ z prośbą o przekazanie tej sumy na fundusz Pomocy Jeńcom Polskim w Niemczech, zamiast kwiatów na trumnę ś.p. Zofii Leśniowskiej.

Kurs Instruktorek
P.S.L.K.

* * *

Łączną sumę zbiórki w dzisiejszym numerze £21.5.9 /słownie dwadzieścia jeden funtów, pięć szyl., dziewięć pensów/ przekazaliśmy Polskiemu Czerwonemu Krzyżowi.

Suma powyższa podnosi ogólną sumę zebraną dotychczas na ten cel za pośrednictwem "Polski Walczącej" do £504.15.10 /słownie: pięćset cztery funty, piętnaście szyl. i dziesięć pensów/.

POSZUKIWANI
WYKAZ Nr. 30

Osoby poszukiwane, jak również ich znajomi, posiadający bliższe dane, a zwłaszcza adresy zainteresowanych, proszeni są o przesłanie ich do Wydziału Rodzin Wojskowych, Ministerstwo Obrony Narodowej /Polish Military Families Office/, 5, West Halkin Street, London, S.W.1.

38. **Żyga** Ryszard z Tarnopola, ur. 1921 r., syn Jana, był w 8D.P. w Szk. Podchr., wyjechał do Anglii — poszukiwany przez Ref. R.W. /2 Iran, Paiforce P.F. i przez Furdyna Barbara, Teheran/ /4031/.

39. **Żabniewski** Andrzej, 1925 r., podchr. — poszukiwany przez Ref. R.W. /2 Iran, Paiforce P.F./ /4031/.

40. **Jurczyński** Emil, kpt. z D-twa K.O.P., był we Francji, wyjechał do Anglii — poszukiwany przez Jurczyńską Annę /3728/.

41. **Ludyga-Laskowski** Jan, mjr. z Warszawy /Federacja/ — poszukiwany przez Zmigrod Samsona /3728/.

1. **Baranowski** Józef, plut. — poszukiwany przez żonę Jadwigę 1908 i syna Grzegorza lat 9 z Teheranu /3742/.

2. **Baranowski** Witold, lotnik w Szkocji — poszukiwany przez matkę Stanisławę, Teheran, Obóz Cyw. Nr. 1. wraz z Lucyną /4246/.

3. **Boraczyński** Tadeusz, kpr. lot. ur. 1908, w lotnictwie w Anglii — poszukiwany przez Józefę Boraczyńską, Teheran, Iran /4259/.

4. **Bruliński** Wacław ur. 1922, był w 5. esk. lotn. 11. komp., wyjechał z Francji do Anglii — poszukiwany przez Brulińską Janinę Iran, Teheran /4259/.

5. **Brzezicki** Kazimierz, strzelec — poszukiwany przez matkę Marię, Teheran, Obóz Nr. 1. z rodziną /4246/.

6. **Chojnowski** Szczepan ur. 1897, był w 8. D.P. wyjechał 1942. do Anglii — poszukiwany przez żonę Stanisławę, Teheran, Obóz Cyw. Nr. 2. /4259/.

7. **Domański** Witold, sierż. pchor. lot., był we Francji, prawdopodobnie w Anglii — poszukiwany przez Domańskiego Jerzego, Teheran, Komp. Uzdr. /4259/.

8. **Ferens** Ignacy lat 44., st. sierż. — poszukiwany przez Ferens Zofię, Iran, Teheran /4259/.

9. **Hermaszewski** Tadeusz ur. 1917 /syn Sylwestra/, był marynarzem na statku szkolnym "Burza," prawdopodobnie w Mar. Polskiej w Anglii — poszukiwany przez siostrę Seweryn Władysławę /4246/.

10. **Jurczyński** Emil, kpr. z D-twa K.O.P., był we Francji, wyjechał do Anglii — poszukiwany przez Jurczyńską Annę /3728/.

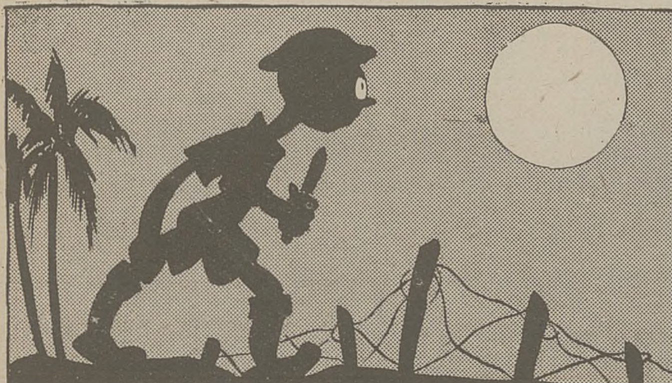
11. **Keller** Andrzej, kan. ur. 1924. syn Witolda, był w 10. D.P.II. Bat. S.A.L. obecnie w Anglii — poszukiwany przez matkę Władysławę, Teheran, Szpital Cyw. /4246/.

12. **Kovats** Henryk, kpt. ur. 1891, prawdopodobnie w Anglii— poszukiwany przez Kovats Marię, Iran, Teheran /4259/.

Tekst: RYSZARD POBÓG

PRZYGODY WALENTEGO POMPKI

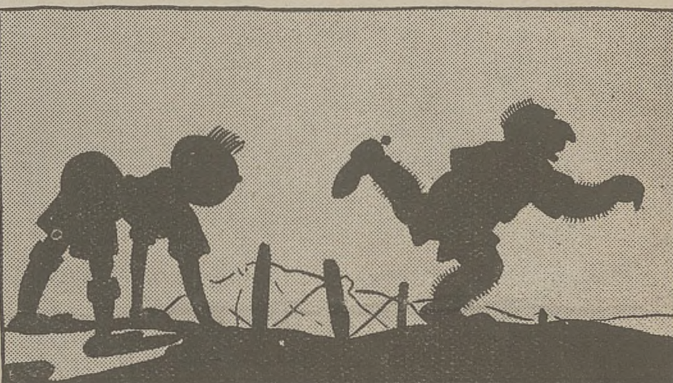
Rysunki: MARIAN WALENTYNOWICZ



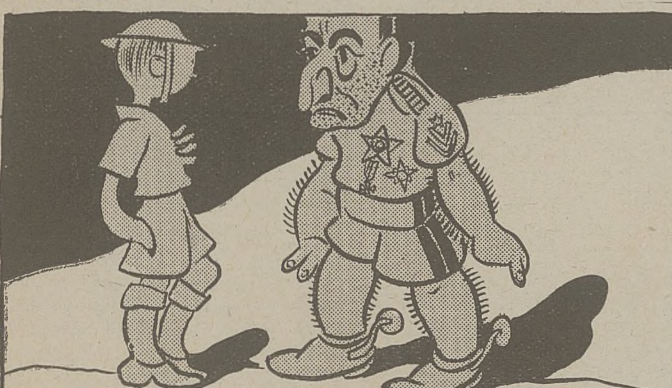
Gdy już sława Walusia
Przeszła wszelkie granice,
Odczyt wielki wygłosił:
"Moje boje w Afryce."



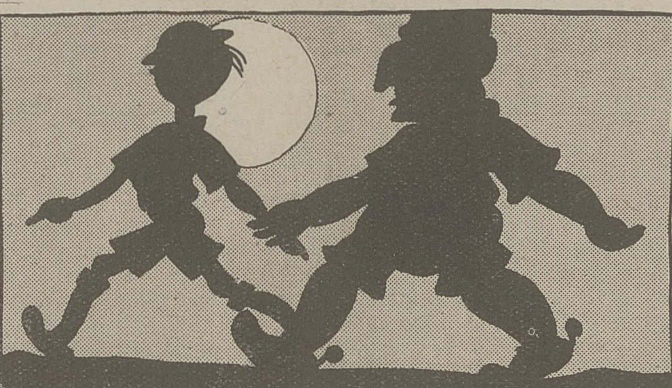
Na patrolu—rozpoczął—
Szedłem ze dwie godziny,
Kiedy nagle wybuchły
Niespodzianie dwie miny.



Ocalałem cudownie
—Stwierdził Pompka Walenty—
I spostrzegłem, że wróg mój
Pokazuje mi pięty.



Halt!—krzyknąłem—bo strzelam!
Who is Who tam się gmera?!
"Caro mio"—ktoś jęknął—
Był to . . . włoski generał.



Do niewoli generał
Poszedł ze mną, jak z dzieckiem,
"Pardon" mówił, maniery
Bowiem miał staroświeckie.



Na swym koncie—rzekł Waluś—
Mam więc dziś generała.
Jedna belka, niewielka,
Za to mi się dostała . . .

POLSKA SZKOŁA ARCHITEKTURY, UNIWERSYTET w LIVERPOOL'U
z prawami Polskich Szkół Akademickich.

Dyrekcja przyjmuje zgłoszenia do dnia 1 sierpnia br. Studenci mają zapewnione stypendium wystarczające na pełne utrzymanie i studia. Kandydaci, żołnierze i cywilni, winni złożyć bezpośrednio do Dyrektora Szkoły podanie wraz z dokładnym życiorysem, przebiegiem dotychczasowych studiów i odpisem świadectwa dojrzałości pod adresem: *Polish School of Architecture, 26, Abercromby Square, Liverpool, 7.*

SPIS RZECZY:

POSZUKIWANIA

Maria ze SKIRTUNÓW SIENKIEWICZOWA z Waranowej k. Lidy poszukuje swego męża Władysława.

* * *

Karolina SIENKIEWICZ, poszukuje swego męża Ludwika.

* * *

Kazimiera MARZEC poszukuje męża Mariana, b. policjanta, który był internowany na Litwie, później wywieziony do Rosji. Ostatnia wiadomość z obozu w Rosji w maju 41 r. Wiadomości proszę przesłać do:

Kondoa, Irangi Camp, Tanganyika Territory, East Africa.

* * *

Poszukuję moich braci: DAWIDA, WŁADKA, JAKUBA, MOŃKA I USZERA TUCHKLAPER, ostatnio zamieszkałych w Warszawie, ul. Brzeska 18.

Wszelkie wiadomości proszę kierować: Etta Tuchklaper, 15, Long Acre, Londyn, W.C.2.

* * *

LEON JERZY KRZYWICKI i ZBYSZEK BILLEWICZ, którzy byli wywiezieni jako jeńcy wojenni do Rosji, są poszukiwani. Wszelkie informacje o nich prosimy nadsyłać do Administracji "P.W." pod "Inż. A.K."

* * *

KARAŚ Józef, poszukuje żony i dzieci, wywiezionych w 41 r. z Przemyśla do Rosji: żona Stanisława z domu Jakubowicz, córki: Stanisława, lat 19, Dyoniza lat 16, Barbara lat 14. Wszelkie wiadomości proszę przesłać do Admn. "P.W."

WYDAJE WYDZIAŁ PRAC KULTURALNO-OŚWIATOWYCH MIN. OBR. NAROD.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I-e piętro.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej—13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh. 20. Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy—2sh. za wiersz.

Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506.

Printed for "Polska Walcząca" by St. Clements Press, Ltd., Portu gal St., Kingsway, W.C.2. Registered at the G.P.O. as a newspaper.